AS



Nr. 32

8 SIERPNIA 193[illegible] R.

RADOŚĆ ŻYCIA



OJCÓW W LEGENDZIE

Myśli wielu Polaków kierują się często ku owej epoce, kiedy to rodziła się wielka potęga narodu: do czasów średniowiecza, do czasów trzech wielkich Bolesławów — Chrobrego, Śmiałego i Krzywoustego.

Polska zjednoczona wówczas pod jednem berłem stanowiła prawdziwe niezależne od postronnych wpływów mocarstwo. Epoka ta jest jednocześnie okresem rozkwitu ogólnoeuropejskiego kultury średniowiecznej. — Z owego okresu historycy polscy nie wiele mogą nam przekazać faktów i wydarzeń, ale zato bardzo wiele legend o romantycznym nieraz wątku.

Legendy takie zmartwychwstałe w naszych oczach, wychodzące z pomroków zapomnienia, ożywiają nam związane z niemi miejsca i zabytki. W pamiętnikach Hoffmanowej-Tańskiej znalazłem jedną z takich legend, łączącą się swym wątkiem z ruinami zamku w Ojcowie.

Bohaterem tej legendy jest sławny palatyn, wojewoda Bolesława Krzywoustego, Skarbimir ,albo jak chce autorka — Skarbimierz. Wojewoda ten pochodził ze słynnego rodu Awdańców.

Historja Krakowa i jego okolic nie raz przypomina nam legendarne i historyczne wyczyny przedstawicieli owego znamienitego rodu. Wedle Bielskiego zabójcą podwawelskiego smoka miał być szewc Skuba, — który podstępnie otruł potwora baranem, nadzianym siarką i smołą. Byłby on identyczny ze Skubą szewcem, a raczej Skarbkiem, który wedle Długosza za pokonanie Niemca został zaliczony w poczet rycerzy. Długosz przytacza również inne podanie o praszczurze tego rodu,. który wysłany do cesarza niemieckiego Henryka II, na propozycje podjęcia czegoś z jego skarbów, wrzucił swój własny sygnet do skrzyni cesarza, mówiąc „hab Dank", — dziękuję, które to słowa miały stać się później zawołaniem herbowem. W rzeczywistości Awdańce niesłusznie Abdankami zwani, pochodzili od Normanów, a przywędrowali przypuszczalnie z Danji, gdzie już w VIII wieku spotykamy się z nazwiskiem Auda (Awda) jako nazwiskiem rodowem.

„Auda" znaczy po polsku „skarb", stąd nazwy polskie przedstawicieli owego zawołania Skarbek, Skarbomir itp.

O naszym Skarbomirze pierwszą wzmiankę posiadamy z przełomu wieku XI na XII, kiedy to był „pedagogiem" Bolesława Krzywoustego. W latach tych udaje się w poselstwie do czeskiego księcia Bożywoja, by odwieść go, zapomocą większych sum złota, od zamiaru wyprawy na Polskę. Odtąd rośnie jego sława i znaczenie, kronikarze nazywają go „Comes Poloniae palatinus" (hrabia Polski wojewoda), „militiae princeps" (wódz wojsk), „signifer" (chorąży), wspomina o bojach zwycięskich z Czechami i Pomorzanami.

Nagle w roku 1118 nastąpiła katastrofa, którą tak krótko wzmiankuje dziejopis: „Skarbimir wojewoda powstał przeciwko wodzowi Bolesławowi i został oślepiony". (Chronica Polonorum). Na tem kończą się wzmianki historyczne.

Reszta wydarzeń pozostawia wolne pole fantazji, jakie były przyczyny upadku tak znakomitego męża, który trząsł dosłownie owoczesną Polską Bogaty i potężny posiadał liczne zamki, fundował klasztory i kościoły, między innymi w krakowskiej ziemi Skarbimierz, późniejszy Skalmierz. I tu przychodzi nam z pomocą legenda. Skarbimir był właśnie u szczytu potęgi i jako wojewoda krakowski na czele hufców prowadził wojnę z Czechami. Należał do niego również zamek w Ojcowie, którego jednak prawie nigdy nie odwiedzał. W pobliżu Ojcowa znajdował się drugi zamek Ogrodzieniec, należący do jego brata, legenda nie podaje jednak którego. Bratowa czując również, że koniec jej bliski, postanowiła wezwać na opiekuna swej jedynej córki Witysławy właśnie wuja jej, wojewodę Skarbimira. Przynaglony wezwaniem zjawił się na zamku Ogrodzieńcu, leżącym u źródeł Warty i Pilicy sam wojewoda i zastał wdowę bliską zgonu. Uderzyła go piękność poruczonej jego pieczy bratanicy Witysławy, której nie widział od wczesnego dzieciństwa. Kazirodczy afekt opanował całkowicie jego umysł i wojując w dalekich stronach posyłał gońca za gońcem, by dowiedzieli się co rychlej o zgonie wdowy i możliwości zrealizowania swych niecnych planów.

Witysława nie przewidywała niczego, — a choć była smutna i melancholijna, kochała się w mieszkającym w sąsiedztwie rycerzu Piotrze Szczebrzycu (nazwisko to może być wykoszlawieniem spotykanego często w rodzie Awdanców imienia Szczedryk). — Po pół roku zmarła rzeczywiście jej matka, a wojewoda, nie bacząc na rozpoczęte działania wojenne, rzucił pola bitewne i w gwałtownym pośpiechu przybył do Ogrodzińca, gdzie na wyniesieniu spoczywało w otwartej trumnie ciało zmarłej. Tu, nie bacząc na obecność trupa, wyznał Witysławie swój występny ogień miłosny. Witysława odrzuciła z pogardą propozycje starego Skarbimira. Oszalały z gniewu wojewoda, kazał natychmiast uwięzić Witysławę i jej kochanka Piotra Szczebrzyca. Przewiózł oboje do zamku swojego w Ojcowie i tu wszelkiemi środkami starał się zyskać miłość bratanicy. Wreszcie chwycił się szatańskiego wprost środka: zapowiedział, że zgładzi Piotra Szczebrzyca „w oczach zalanej łzami kochanki", jeżeli nie odwzajemni jego uczucia. Witysława już się zdecydowała na haniebny krok, gdy niespodziewanie przybył na zamek z licznym zastępem Bolesław Krzywousty, by ukarać wojewodę, za opuszczenie placu boju. Skarbimir postawił się hardo księciu, za co potem kazał wojewodę natychmiast pojmać i oślepić. Odtąd, jak mówi legenda, „dla wiecznej pamięci owych zbrodni i przestępstw, wojewoda krakowski został na zawsze poniżony, a wyższą nad niego władzę miał po wsze czasy kasztelan".

Witysława chciała wstąpić do klasztoru, ale ulegając namowom króla i Piotra Szczebrzyca wstąpiła w związek małżeński.

Krzywousty nadał młodemu stadłu zarówno zamek w Ojcowie, jak i wsie okoliczne, zapewniając im szczęście i bogactwo. Mogli więc bez uszczerbku ufundować w pobliżu kościół i klasztor, sami jednak nie zaznali szczęścia i zmarli bezpotomnie.

Przytoczona legenda opiera się na tak częstym w podaniach aryjskich wątku o kazirodczej miłości.

Nawet wśród polskiego ludu spotykamy dość często ten motyw, np. w opowieści o bracie, który chciał poślubić swą siostrę, którą w przededniu ślubu pochłonęła ziemia, by nie dopuścić do tej hańby.

Znany znów podróżnik Podlewski przytacza legendę kaukazką o córce chana, w której zakochał się własny ojciec. Na żądanie córki wybudował wysoką wieżę nad morzem. Córka skoczyła z wierzchołku tej wieży w nurty morskie, przecinając tak dalszy wątek tragedji.

Choć więc nie wiemy skąd pochodzi przytoczone opowiadanie, opiera się ono na częstym w legendach średniowiecza wątku i owiewa szczególnym urokiem wspomnienia średniowieczny Ojców i jego okolicę.

Dr Władysław J. Dobrowolski.



Ruiny zamku w Ogrodzieńcu.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 32 **Niedziela 8 sierpnia 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 32-GO:



Fot. Wide World — Londyn.

Po dłuższym pobycie zagranicą wrócił ostatnio młody król egipski, Faruk do swej ojczyzny, witany radośnie przez swych poddanych. Z dojściem do pełnoletności objął on oficjalnie, jako dziewiąty następca Muhameta Ali, założyciela dynastji, tron a złożenie przysięgi odbyło się w końcu lipca br. Ciekawem jest, że powstał projekt aby królewska korona egipska modelowana była na koronie Tutankhamena. Na naszem zdjęciu widzimy młodego króla witającego się z reprezentantami społeczeństwa egipskiego po przybyciu do portu w Aleksandrji.

PO · OBYDWU · STRONACH · RENU...



Zachód słońca na Renie.



Na lewo: „Hohe Strasse" w Kolonji w wieczornem oświetleniu. Rysunki L. Tyrowicza

Katedra kolońska wbija się dwoma potężnymi stożkami w samo serce prastarego grodu nadreńskiego. Od jej szerokich stopni rozchodzą się w promienistym układzie pulsujące życiem arterje. Stąd schodzi się ku bulwarom Renu, stąd prowadzą ulice w stare i nowe dzielnice Kolonji.

Renem płynie niewygasła legenda, saga bohaterska o złocie i rycerstwie i obija swój refren o mury i niebosiężne, nie dające się objąć jednym rzutem oka, wieże tumu. Słuchają jej w nieprzebranym orszaku święci, kamienne oblicza — ogorzałe od wiatrów i słońca. Wchłaniają rozwartymi paszczami potworki i maszkarony gotyckie, wyginające sie ku wichrom i chmurom.

Od miasta „podciąga" pod ciężkie portale zapach wody „Maria Farina", posuwa się zduszoną falą od nieprzeliczonych sklepów i drogeryj, mieszając się z zapachem winiarń i rozgrzanej benzyny na asfaltowej jezdni.

Dworzec, kopulasta, szeroko rozstawiona budowla o stylu niewiadomego autoramentu, rozkłada się swym zczerniałym cielskiem niemal pod samymi skarpami katedry. Jak z mrówczych tuneli wypływa z podziemnych hal dworca co chwila nowa fala ludzka. Na chwilę zamiera ona w bezruchu, zwracając się w zachwycie ku kolosowi średniowiecza — potem rozrzedza się, ginąc na skrzyżowaniach głównych arteryj.

W Kolonji jest ruch. Wynika on nietylko z przyczyn gospodarczych i gęstego uprzemysłowienia Nadrenji — lecz również z tranzytowego położenia Kolonji. Biegną tędy pociągi i ekspresy w stronę Holandji, Belgji i Francji.

Piękny, rozsłoneczniony czerwiec, podobnie jak u nas, bez kropli deszczu, nadaje temu miastu dużo uroku. Drzewa w bujnej, świeżej zieleni, ulice pełne turystycznych aut, parowce odwożące wciąż setki ciekawych po romantycznej wstędze Renu — wszystko to wytwarza żywą i podniecaną atmosferę wiosenną. Siedemset tysięczne miasto, położone w pasie ciężkiego przemysłu, okolone pierścieniem fabryk, kominów i czarnych hałd, wygląda samo w sobie jak nęcąca zielenią i wesołym gwarem wyspa, rzucona wśród czerni fabryk i oparów. Granica jest blisko.

Opodal leży cichy Akwizgran, gdzie uliczne tablice z napisami „nach Belgien" i „nach Holland" wskazują dojście do słupów granicznych. Historja Kolonji sięga I wieku po Chryst., kiedy to w 50 r. naszej ery Rzymianie założyli tu miasto. W IV wieku zajęli miejsce tutejszych władców Frankowie. Od czasów Konstantyna po dzień dzisiejszy zachowały się tu tak liczne ślady i pamiątki wszelkich epok i stylów ,iż można uważać słusznie Kolonję jako bogate siedlisko dokumentów kultury i sztuki europejskiej.

Przejściowy charakter tego pasa ziemi nadał niemieckiej kulturze regjonalne, odrębne piętno. Kolończycy, mówiący specjalnym akcentem, podkreślają z dumą swą regjonalną odrębność. W niemieckie nazwy wplątują się często obce twory, zpoza kordonu, słowa o rozmiękłem zakończeniu, jak

Poniżej: Uniwersytet koloński jest wzorem nowoczesnego budownictwa.



Wehlem, Horrem lub przyimki „Van". Rasa flamandzka sięga i tu i Kolończyk chętnie przyznaje, że jego pochodzenie jest „flamisch".

Humor i tusza niewiast, krągłe kształty, podkarmione słodkiem winem reńskiem, — wesołe usposobienie i zamiłowanie do pieśni przywodzą na pamięć obrazy Rubensa i Jordaensa, których tak wiele znajduje się w tutejszych muzeach.

Nawet Madonny gotyckie, przepięknie polichromowane rzeźby drzewne lub oblicza przez kolońskich mistrzów przekazywane wieczności w obrazach ołtarzowych, mają krągłość, rumieńce i ciepłe uśmiechy.

Rozległe podmiejskie przestrzenie, leżące poza centrum, długie szpalery topol, zdają się prowadzić już do kraju tulipanów i wiatraków.

Kolonja, o której mówi stare hasło „qui non vidit Coloniam, non vidit Germaniam" — to jedno z niewielu niemieckich miast, rzucających przed oczy przybysza wiele cech, ujmujących z miejsca i bez zastrzeżeń. Ruch i ład miły, bo nie wynikający ze skrępowania naszej woli, nowoczesność szos i neonowych świateł wśród omszałych starością murów, wesołość i gościnność mieszkańców, szeroki oddech parków i przedmieść mimo pobliża „industriegebietu" — oto, co bierze każdego. Styl i nastrój miasta niema w sobie niczego z koszarowej urbanistyki niemieckiej lub ciasnoty średniowiecznych grodzisk. Hanzeatyckie miasto, stworzone przez bogate mieszczaństwo i doprowadzone do pełnego rozkwitu kulturalnego i ekonomicznego jest po dziś dzień wyrazem szerokiej myśli i ekspansji w międzynarodowej wymianie handlowej. Historja kupiectwa kolońskiego wiąże się z prądami handlowymi Dalekiego Wschodu i Zachodu i czyni z tego miasta węzeł życia gospodarczego Europy. Wszystko co się dzieje w Kolonji, co jest jej błyskiem i oddechem, to nie potencja wewnętrzna, hermetyczna, kipiąca siłą w ograniczonej przestrzeni jak np. Monachjum, lecz właśnie energja rozwojowa, — odśrodkowe działanie na dalekich szlakach. Ten zdrowy zastrzyk „europejskości" i wpływów wnosi w życie metropolji nadreńskiej silny i świeży przewiew, które z błogością odczują płuca każdego przybysza. Wchłania on tę atmosferę na bulwarach, — widzi ten inny świat, wyznaczający swe drogi poza znak swastyki, na ruchu rzecznym, słyszy w gwizdach obcych statków i parowców odpływających ku Szwajcarji lub Holandji, ogląda na traktach, których życie nie kończy się ani na rogatkach czy barjerach granicznych. W Kolonji znajduje przybysz wiele zainteresowań. Muzea, szczególnie Richartz-Museum przepełnione są zabytkami starej rzeźby nadreńskiej, ceramiki, galerje pełne Flamandów i kościelnej sztuki ołtarzowej (trójskrzydłowe obrazy). Przejażdżki parowcem lub opciągiem „Rheingold-Zug" dają możność wchłonięcia romantycznego krajobrazu, owianego urokiem legendy, zaklętej w zamkach, skałach i nurcie płowej rzeki. Słynny uniwersytet koloński, którego wydział dla badań nad handlem, największy tego rodzaju instytut w Europie, jest dziełem i chlubą tutejszego mieszczaństwa, stanowi atrakcję w badaniach nad naukami socjalnemi.

Dokończenie na str. 26-ej.







Na prawo, od góry ku dołowi: Raj letników spragnionych wody i powietrza — miasteczko na nadreńskiej plaży. — Miejscowość Bacharach nad Renem należy do jednej z najpiękniejszych. — Słynny zameczek Pfalz, wielce oryginalna budowla nadreńska. — Jedno z wielu uroczych miasteczek na drodze z Moguncji do Kolonji. — Dumny zamek Katz, doskonale zachowany — w dole tarasy winnic.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: J. I E. MIEROSZEWSCY.



Na prawo: Ruiny starego zamku rysują się malowniczo na tle zamglonego horyzontu



Oto jak sobie „Marsjan" wyobraża powieściopisarz angielski H. G. Wells. Posiadają oni olbrzymie głowy, opierające się na splocie macek.

CZY MARS JEST ZAMIESZKAŁY?

Poniżej: Mars według rysunku uczonego amerykańskiego Howarda Russella Butlera.



Na ciemnej płaszczyźnie teleskopu rysuje się kulista postać, tonąca we mgle. Oko podąża przez bezkresne przestrzenie kosmiczne, oko badawcze i ciekawe, chcąc rozerwać zasłonę tajemnicy, panującej w kosmosie. Chciałoby się jakąś magiczną sztuką zbliżyć te dalekie ciała niebieskie, skrócić odległość dzielącą nas od nich i zadowolić ciekawość, jaka od wieków pożera nietylko uczonych, ale też przeciętnych ludzi, interesujących się zagadnieniem, czy Mars jest zamieszkały? Ale cóż, kiedy ciemne zasłony i lekkie, żółtawe światła wędrują po powierzchni tej planety, tworząc jakieś dziwne obrazy, które potem znowu giną w chwili, gdy nam się już zdaje, że uchwyciliśmy wątek tajemnicy.

Już od wielu lat badanie planety Marsa stało się jednem z ważniejszych zajęć ekspertów astronomicznych w obserwatorjum w Arizona. Raz po raz uda się zdobyć jakiś nowy szczegół i wtedy ołówek astronoma kreśli to, co teleskop jego zdaje się mu ukazywać. W ten sposób powstają dosyć problematyczne obrazy tej planety, przyczem trzeba zaznaczyć, że zdjęcia fotograficzne nigdy nie dochodzą do potrzebnej ostrości i nie dają tych szczegółów, które pochwyci oko ludzkie.

Ludzie na Marsie! Istoty myślące i podobne do nas samych! Ale znacznie wyższe pod względem intelektualnym, posiadające za sobą rozwój miljonów lat. Prędsze daleko obroty tej planety, mniejszej od naszej ziemi i bardziej oddalonej od słońca, jak również specjalne warunki atmosferyczne musiały spowodować mieszkańców do współpracy i wyrobienia sobie specjalnych sposobów, celem ochrony przed zimnem i brakiem wody. Oto kilka teoryj niczem nie popartych i zupełnie nie sprawdzonych, które mimo wszystko utrzymują się jako „żelazny kapitał" naszych wiadomości o Marsie. Zapewne nie jest to przypadek, że właśnie w połowie XIX wieku, tj. w chwili kiedy rozpoczął się rozwój techniczny świata, zaczęto interesować się Marsem. Przedewszystkiem postępy techniczne uczyniły ziemię niejako mniejszą i pojęcie o ograniczoności naszego globu przeszło odrazu od scholastycznych abstrakcyjnych rozumowań, w sferę rzeczywistości. Chęć porozumienia się z mieszkańcami Marsa była drugim etapem rozwoju problematycznych marzeń „międzyplanetarnych". Poczęły się tworzyć fantastyczne projekty, bo przecież każdy postęp i każda nowa faza rozwojowa zaczyna się od fantazji, która realizuje się powoli. Myślano np. o zbudowaniu olbrzymiego trójkąta na piaskach Sahary. Zapomocą niego możnaby porozumiewać się z mieszkańcami Marsa, którzy zdaniem uczonych, posiadają wybitne wiadomości z zakresu geometrji i zdolności logicznego rozumowania. Wyobrażano sobie, że zapomocą sygnałów świetlnych możnaby im komunikować wiele rzeczy; chciano w tym celu też użyć radja. Fantastyczne pomysły Kamila, Flammariona, oparte zresztą na przesłankach naukowych, miały wielu naśladowców, którzy nietylko słownie, ale też zapomocą rysunków wyrażali swoje przypuszczenia o Marsie.

Nic dziwnego, że ludzkość zwraca się raz po raz do uczonych po potwierdzenie swoich poglądów na tę planetę. Jednakowoż odpowiedź uczonych szła nieraz nie w tym kierunku, w jakim się jej spodziewano. Gdy amerykański astronom Lowell telegrafował do swego kolegi Barnesa, posiadającego największy refraktor na świecie, teleskop w Yerk o średnicy 101 cm. pytając, czy zdołał odnaleźć na Marsie ślady kanału, Barnes odtelegrafował podobno Lowellowi: „Tele-



Na lewo: Mapa planety Mars, według rysunku włoskiego astronoma Schiaparelli 1892 roku.



Powyżej: Fotografja powierzchni Marsa.

Poniżej: Również węgierski inżynier Dezydery Papp starał się rozwiązać zagadnienie, czy Mars jest zamieszkały, przypuszczając, że istoty na nim żyjące przypominają olbrzymie owady. Oto walka „Marsjanina" z człowiekiem.





Na prawo: Najdziwaczniej może wyobraża sobie mieszkańców Marsa słynny francuski uczony, Kamil Flammarion

skop w Yerk zaduży, by móc nim spotrzec jakieś kanały". Okazało się więc, że cała teorja o wyżłobieniach tektonicznych na Marsie jest halucynacją, gdyż oko mimo wszystko nie jest instrumentem niezawodnym. Naraża się człowiek przedewszystkiem na to, że patrząc na pewien przedmiot, umieszczony w złem świetle, a wszystkie nieomal planety znajdują się w tem położeniu, daje się mu złą perspektywę, zbliża je do siebie i łączy ciemne i jasne plamy zapomocą wyimaginowanych linij. Zdarza się również, że niektóre z pobliskich punktów ściąga się razem, łącząc je prostą linją. Jak się okazało więc, nawet najbardziej miarodajny uczony w tym kierunku nie mógł odkryć kanałów na Marsie.

Ale jest przecież jeszcze wiele innych zagadnień, które wędrują nietylko po głowach autorów fantastycznych powieści, ale również i poważnych uczonych. Chodzi mianowicie o temperaturę panującą na powierzchni Marsa, a o której się twierdzi, że wynosi 15 stop. poniżej zera.

Wprawdzie temperatura ta nie jest katastrofalną dla samej egzystencji istot ludzkich, stanowi jednak poważną przeszkodę w rozwoju wszelkiego życia, które uzależnione jest od odpowiedniej temperatury. Jest rzeczą stwierdzoną, że życie organiczne może się rozwijać w temperaturze powyżej punktu zamarzania, a poniżej temperatury 45—75 stopni F. na dłuższej przestrzeni czasu. Są oczywiście tacy, którzy wątpią w istnienie jakiegokolwiek życia, poza naszym systemem słonecznym. Ale może istnieją mimo wszystko w przestrzeniach odległe słońca z planetami, na których rozwinęło się coś podobnego, jak życie na naszej planecie?

Zadumani wpatrujemy się w niebo i ogarnia nas uczucie, że mimo postępu technicznego nigdy nie zgłębimy jego tajemnic! **j.**

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Znaczek niemiecki, wydany ostatnio według pierwowzoru w r. 1936 z okazji wielkich wyścigów, które odbyły się 1 sierpnia w Monachjum o „Bronzową Wstęgę Niemiec". Znaczek ten sprzedawany był w specjalnym urzędzie pocztowym na wyścigowym placu monachijskim.

Już dosyć razy wyrażaliśmy swój zachwyt po otrzymaniu najnowszych znaczków amerykańskich, lub też mówiąc ściślej U. S. A. Tym razem reprodukujemy kopertę ciekawą nietylko ze względu na śliczny nowy znaczek pamiątkowy (koloru lila), ale i na to, że prócz stempla z miejscowości Marietta, na drugim kasowniku czytamy słowa „first day of issue" (pierwszy dzień wydania). Może to jest już przesadą, aby chcieć posiadać wszystkie znaczki, zaopatrzone stemplem z pierwszego dnia, w każdym jednak razie podobna koperta urozmaica w albumie ciągnące się w nieskończoność rzędy znaczków. 150 lat temu, gdy w tej malutkiej miejscowości w stanie Ohio (czyt. Ohajo) wydano manifest niepodległościowy, zachodnią granicę „zbuntowanego" kraju tworzyła rzeka Mississipi, a dalej był tylko „no man's land", gdzie jeszcze nie stanęła prawie stopa białego człowieka.

Niech przeciwnicy filatelistyki mówią co chcą i niech się z nas śmieją, że taką wagę przywiązujemy do tych małych skrawków papieru. Musimy się wprawdzie przyznać, że zamiłowanie to staje się namiętnością i tylko dlatego znaczki osiągają czasem tak wysokie ceny, ale zato jest to jedna z najprzyjemniejszych rozrywek. Spokojna i zajmująca, umożliwiająca kontakt z ludźmi, którzy mieszkają gdzieś za oceanami, i przypominająca innym bezwiednie dawno zapomniane wiadomości z historji i geografji.

Ukazały się dwa nowe prowizorja (może lepiej „znaczki tymczasowe") dopłatne: 30 gr (25 i 30) 40 groszy. **W. H.**



Najnowsze znaczki Stanów Zjednoczonych.

Odpowiedzi Redakcji.

WP. DR A. KRAJEWSKI, POZNAŃ. Memorjał WPana nie jest żadną rewelacją: o cenę teoretyczną Pexipu nie ma się żadnego celu spierać; kupcy już w pierwszym tygodniu żądali zań 40 fr. (widocznie nie czytuje Pan l'Echo de la Timbrologie), nie wiadomo Panu, ile kosztuje on w Krakowie, Bielsku i we Lwowie, skąd mieliśmy relacje wielu handlarzy, a jeśli rozchodzi się o to, co będzie w przyszłości stosowniejsze, jest zwłaszcza w filatelistyce słowo „prawdopodobnie", aniżeli zwrot „nie ulega wątpliwości", którym Pan kończy swój zresztą fachowy list.

Adresy zbieraczy.

Witold Horain — Kraków, Zwierzyniecka 19. Poszukuje nowości wszystkich państw, zwłaszcza zamorskich, oraz lepszych znaczków dawnych wydań.



RYTM BAROKU.

Fragment kolumnady Berniniego na placu św. Piotra w Rzymie

Fot. Schostal.

ZMIERZCH

IRENA WIELGUSÓWNA • NOWELA

Długie, białe palce, uzbrojone w czerwony, ostro zakończony ołówek, powoli posuwają się po długich i nieco zamazanych kolumnach cyfr. Od góry ku dołowi. Jakby ktoś ostrożnie schodził z drabiny, namyślając się nad każdym krokiem.

Pan radca Wieczorek liczy w skupieniu, bezwiednie poruszając wargami, jakgdyby się modlił. Trzeba jeszcze raz sprawdzić, chociaż rachunek zapłacony już zrana. Może przecież znajdzie się jakiś błąd. Nigdy nie jest się zanadto dokładnym... — ....pięć a cztery dziewięć, a sześć piętnaście a trzy... — urwał się szept — ostatnia kolumna dobiegła końca. Razem: siedemdziesiąt i pół złotego. Czyli zgadza się co do grosza. Pan radca zamknął zmięty nieco i zatłuszczony notes, na którego okładce, koloru nadgniłej pomarańczy czernił się wyraźny napis „towary mięszane" — i położył go obok drugiego, który pierwotnie bliźniaczo podobny, teraz różnił się od swego sąsiada. Był znacznie więcej zatłuszczony i opatrzony napisem „mięso i wędliny".

Białe palce pana radcy wyciągają się powoli po trzeci notes...

A w drugim pokoju: „Nie da się mamo! To wykluczone... ani rusz nie da się zapiąć! Szkoda, bo jeszcze jest ładny i twarzowy. Ale to nic — będzie dla ciebie — jesteś mniejsza i szczuplejsza ode mnie. Jeszcze zeszłego roku był zupełnie dobry... ano trudno — trzeba kupić nowy.

Drzwi szafy zaskrzypiały z pasją, aby przesłonić wdzięki ukrytej za niemi Aliny, która z trudem ściągała z siebie ciasny i zbyt mocno przylegający kostjum kąpielowy.

— Trzeba kupić — niema innej rady! — głos matki jest równy i jakby przyciszony.

Trzeci notes szeleszczący pod palcami pana radcy nosi napis „Mleczarnia".

W nim także rachunek jest ścisły — najzupełniej ścisły. A więc można mieć niezachwianą pewność, że z otrzymanej wczoraj emerytury pozostaje złotych trzynaście i groszy siedmdziesiąt dwa. Ani mniej ani więcej. Za tę cenę zaś dostanie wcale porządne sandały, w których będze można chodzić zupełnie wygodnie. Bo te czarne, płytkie pieką wciąż jeszcze, pomimo, że służą już czwarty rok. Czy skóra taka twarda, czy fason niewygodny — trudno dociec. Fakt, że pieką.

Ciężka, wysoka figura pana radcy prostuje się z trudem. Wypukłe, niebieskie oczy są zadowolone. — Możnaby to zaraz załatwić — możeby tak Zuzia poszła ze mną?

— Tatusiu — nowy kłopot. — W głosie Aliny niema ani odrobiny zmartwienia. — Kostjum jest ciasny... zupełnie ciasny. Trzeba kupić nowy — koniecznie!

— Ależ owszem Alinko. — Pan radca jest tak spokojny, że jakgdyby przez całe swe życie wędrował w zupełnie wygodnych, przewiewnych sandałach.

W szufladzie biurka cicho zgrzytą klucz. Proszę — mówi ojciec uprzejmie. — Sądzę, że wystarczy. — Gest jego jest zdecydowanie wytworny, gdy kapitał domowy w całości grzęźnie w dużej, opalonej dłoni Alinki.

— Mamusiu, jest forsa! — Idziemy do miasta, a potem na plażę. Ubieraj się! — O podziękowaniu oczywiście niema mowy. — Ty, tatusiu, także chyba pójdziesz z nami?

Pan radca niby przelotnie zahaczył oczyma o okno. Myśl o czarnych płytkich zapiekła go boleśnie. Bo z jasnego nieba leje się słoneczny żar i praży na rozmiękłym asfalcie ulicy.

Ręczniki... krem... — Pani Zuzanna nigdy nie zapomina o niczem.

— I parasolka dla tatusia. Niewiadomo czy nad wodą znajdzie się dziś trochę cienia, gdzieby mógł się zdrzemnąć. Weź Alinko tę większą z szafy — wiesz którą...

Zusia miała rację. Pan radca bezradnie błądził po rozpalonem wybrzeżu, zaglądał pomiędzy tu i ówdzie zieleniące kępki krzaków — wszędzie jednakże roiło się od ludzi. W taki upadł, cóż dziwnego...

Zrezygnowanym krokiem podążył w kierunku maleńkiej, zaledwo od ziemi odrosłej oazy i zajrzał nieufnie a dyskretnie. O dziwo — była pusta. Należało więc rozgościć się czemprędzej i czekać. Czarne płytkie obuwie piekło go niemiłosiernie. Rozluźnił więc szybko sznurowadła i ściągnął owo narzędzie tortur, na które nie było już innej rady. Oswobodzone stopy wsunął między cieniste zwoje wikliny, nad głową rozpostarł parasolkę tak jednak, aby nie tracić widoku na wodę, skąd dobiegał go mocny, ponad innemi górujący śmiech Alinki.

O tak! Jest wcale dobrze i wygodnie. Dobrze, że Zuzia pomyślała o tej parasolce. Kochana Zuzia! Nigdy o niczem nie zapomina. Bo przecież taka maleńka, niziutka wiklina prawie nic nie znaczy. Zaledwie osłoni nogi. Chociaż dobre i to.

Pan radca ziewnął. Błogość, spowijająca oswobodzone stopy powoli zaczynała posuwać się ku górze. Nad brzegiem ktoś zaśmiał się głośno. Zapewne znowu Alinka. Taka jest duża i hałaśliwa. I wciąż jeszcze rośnie. Dlatego trzeba było ten kostjum... Cóż robić — trudno...

Pan radca ziewnął po raz drugi i przymknął oczy na chwilę. Ostatecznie możnaby się zdrzemnąć, gdyby nie ten hałas. Ciekawe, kto to tak krzyczy... Wypukłe krótowzroczne oczy usiłowały osiąść na rzece, lecz bezskutecznie. Dlatego spoczęły wygodnie na dużych, wypełzłych kwiatach rozpiętej parasolki. Kwiaty te wydały się panu radcy dziwnie znajome. A nawet bliskie. Zaraz... skąd to... jakże to było... Aha! Już mam... Właśnie... Było gorąco — tak samo, jak dziś, więc dlatego się przypomina. Choć to już dawno... ile lat? — dużo... Alinka szesnaście skończyła dwa miesiące temu, a to było przedtem, dużo przedtem — więc może ośmnaście, albo i więcej...

Pan radca uśmiecha się. Widzi jasną, słońcem wypolerowaną ulicę, a na niej siebie. Idzie szybko, gdyż czuje się doskonale, pomimo, że właśnie minęła mu czterdziestka. Garnitur leży doskonale — w kieszeni pieniądze. Dużo pieniędzy. A naprzeciw niego drobna, śniada twarz Zuzi, na jasnem, kwiecistem tle parasolki. — Dokąd to pani? — zaczyna pan radca z uśmiechem i milknie odrazu ogromnie zawstydzony — wydaje mu się bowiem, że popełnił wielki nietakt. Wie przecież, że panna Zuzia chodzi do szycia i sądzi, że tego tematu nigdy poruszać nie powinien. — Służę pani — poprawia się szybko — ujmuje ją pod rękę — odbiera parasolkę, dbając o to, by ani jeden promień słońca nie padał na twarz panny Zuzi. Odprowadza ją aż pod bramę pracowni i na pożegnanie z galanterją całuje w rękę. Pomimo że panna Zuzia jest bardzo młodziutka i zupełnie biedna. Poprosu uczy się szyć. Pan radca zawraca. Jego promienny humor nagle naczyna się psuć. Początkowo nie zdaje sobie sprawy z tego, że go niepokoi, wreszcie jednak uświadamia sobie z przerażeniem, że na pięcie jedwabnej, pasiastej skarpetki uformowała się duża, okrągła dziura. Widać ją jaknajdokładniej przy każdym kroku. Pan radca przechodzi niewysłowione męki. Wydaje mu się, że każdy, kto go mija, szyderczem spojrzeniem mierzy nieszczęsną dziurę na pięcie, która paraliżuje mu nogi. Trudno jest iść. Nogi plączą się i sztywnieją. Nieokreślony ciężar wgniata je do ziemi. Walka z ich bezwładem jest wyczerpująca i najzupełniej daremna. Pan radca budzi się. Zachodzące słońce świeci mu prosto w oczy, gdyż kwiecisty dach parasolki osunął się na bok. Jest duszno i gorąco.

— Zły sen — mruczy pan radca, zpowrotem otulając się cieniem — bardzo niedobry — dziura... to strata, kłopot, wogóle przykrość jakaś. Brzydki sen...

Drżące ręce zatopił w kieszeniach leżącej obok marynarki i wydobył z niej okulary. Pospiesznie założył je na nos i spojrzał ku rzece. — Chwała Bogu! — Zuzia i Alinka stały opodal całe i zdrowe, a nawet uśmiechnięte. Zuzia zwłaszcza. Twarz ma śniadą, opaloną, dlatego widać dokładnie, jak w uśmiechu błyszczą jej podłużne białka oczu i białe zęby.

Rozmawiają z kimś, kogo pan radca nie może poznać. Jakiś mężczyzna. Wysoki, szczupły i prawdopodobnie młody. Przynajmniej tak można sądzić z postawy i ruchów, gdyż twarzą zwrócony jest ku rzece. Mówi zapewne coś bardzo wesołego, gdyż Zuzi błyszczą białka i zęby w uśmiechu, Alinka zaś, swoim zwyczajem, zaśmiewa się do nieprzytomności i piętami bije o piasek. Kto to może być ten pan? Pan radca przeciera okulary raz i drugi, lecz bezskutecznie.

Scena, na którą spogląda z pod kwiecistej aureoli zuzinej parasolki, zaczyna go przykro niepokoić. Zuzia taka rozbawiona, jak rzadko kiedy. I taka zgrabna w tym kostjumie Alinki... Ani spojrzy na brzeg, ku wiklinie, zapatrzona w wysokiego mężczyznę. Należałoby zejść ku nim i przyłączyć się do towarzystwa. Tylko, że niebardzo chce się ruszać.

Lecz radca przymyka oczy, usiłując się oszukać, że pragnie jeszcze drzemki. Lecz robi to tylko dlatego, by nie patrzeć ku rzece. Jest mu przykro, smutno i niewyraźnie. Jak człowiekowi, który z ciężkiego snu budzi się z dotkliwym bólem głowy.

Tuż pod zasuniętemi powiekami jest jasno od słońca, od niebieskawej wody i od uśmiechu Zuzi. Lecz głębiej, w myślach, smutno i jakoś bezbarwnie.

— Gdzież jest? Gdzież ono się podziało? Och!

Pan radca szybko otwiera oczy, chcąc się przekonać, czego szuka i czem się niepokoi krzykliwy głos Alinki.

Stała nad wodą, na jasnym, szerokim kamieniu i rozglądała się po niebie.

— No, proszę — mówiła do każdego, kto tylko chciał słuchać. — No proszę — dopiero co świeciło, a już go niema. Zaszło! Musimy iść do domu, mamusiu. Mój Boże! — dodała jeszcze sentencjonalnie, głosem, który nie miał pojęcia o wadze wypowiadanych słów. — Jak ten czas pędzi! Ani się człowiek spostrzeże, kiedy nadchodzi zmierzch.

Pan radca Wieczorek westchnął ciężko i wyciągnął rękę w kierunku, gdzie stały czarne płytkie.

OGRÓD

NOWELA **TADEUSZ BILIŃSKI**

Mimo dwojga imion Piotr Jan Wik nie był poetą, ani powieściopisarzem; był on natomiast urzędnikiem podatkowym VIII-go stopnia służbowego i kawalerem. Może to komu wyda się dziwnem, ale Piotr Jan miał „ideał", któremu w zaciszu swego serca wystawił kapliczkę. Nie była nim — jak to zwykło dziać się wśród jego kolegów biurowych — żadna Zosia ani Mania, bo Piotr Jan Wik nie robił nigdy tego, co inni, ale był nim... ogród.

Tak... ideałem jego, wielką jego miłością i pasją całego życia był ogród, którego nie miał, a mieć pragnął za wszelką cenę.

Piotr Jan Wik — jak już wspominaliśmy — był urzędnikiem fiskalnym. Wiadomo, że nie „przelewa się", kiedy jest się urzędnikiem, choćby nawet i stabilizowanym; w każdym jednak razie „wyjść na swojem" można, zwłaszcza, gdy się jest — tak jak Piotr Jan — „bezdzietnym" kawalerem i ma się małe wymagania.

Kiedy w niedzielę jego koledzy biurowi szli popołudniu za miasto, aby tam w towarzystwie swych żon lub przygodnych przyjaciółek pić piwo i jeść ser szwajcarski z kiszonym ogórkiem, to Piotr Jan Wik albo stał w oknie swojego pokoju i liczył małe, białe wełniaste chmurki-baranki, które uganiały po niebieskiej łące, albo też wałęsał się samotny po parku miejskim. Wtenczas to myślał o „swoim" ogrodzie.

A ten „jego" ogród nie był to sobie zwyczajny, nudny ogród — jakich wiele — z wielkim trawnikiem, strzyżonym po angielsku i z kilku zaledwie kwietnikami, rozrzuconemi po rogach gazonu. Nie!... w jego ogrodzie musiało kłębić się od kwiecia, musiał on tryskać kaskadą najżywszych barw, płonąć i skrzyć się, iżby oczy bolały, kiedy się na nie patrzyło.

A więc taki staroświecki ogródek, a pośrodku niego na kiju wielka, srebrna szklana kula, w której odźwierciadlałaby się cała roztęcz przepysznych barw. Ta szklana kula była to rzecz niemal najważniejsza... poprostu widział ją wciąż przed sobą, jak lśniła w topieli słońca i iskrzyła się tysiącem kolorów.

Kiedy minęła niedziela, koledzy jego mieli kwaśne miny i płótno w kieszeni. Zato Piotr Jan Wik, zanim udał się na spoczynek, wyjmował z portmonetki tajemniczy kluczyk, otwierał nim małą żelazną kasetkę i kładł co do niej, poczem zamykał ją starannie.

W tej kasetce taił się „jego" ogród — niby ów genjusz z „Tysiąca i jednej nocy", zamknięty w wazie — czekając wyzwolenia.

I dzień ów nadszedł, prędzej, aniżeli się nawet spodziewał. Owego dnia Piotr Jan wydobył całą zawartość kasetki i nabył za to... ogród na swoją wyłączną własność. A potem kupił mnóstwo nasion i sadzonek kwiatów. Tylko same kwiaty, żadnych owoców ani jarzyn... Nic praktycznego, ani pożytecznego... Jego ogród musiał być jedną wielką kwiaciarnią. Teraz już nie wałęsał się po parku miejskim, ani liczył chmurek na niebie, teraz miał już nareszcie swój własny ogród i to jaki ogród!

Kwiaty i kwiaty bez końca, we wszystkich barwach i odcieniach. A więc płomieniste piwonje, obok skromnej a wonnej rezedy, aksamitne bratki, różowe i białe maki, a dalej znów ogniste laki i zakochane w sobie narcyzy, georginje, tuberozy i tytonie. Najbardziej jednak lubił seledynowe i liljowe irysy, które wystrzelały ponad pomniejszą brać leśną.

A kiedy wiatr powiał po nich, wysypywał się z kielichów subtelny pyłek i wirował jak deszcz złoty w przestworzu. Dumą jego jednak największą były róże: ciemno-czerwone jak purpura królewskiego płaszcza, delikatne kremowe w różowe żyłki, jak policzki najpiękniejszej z kobiet i całkiem śnieżno-białe, czyste i święte.

A pośród tych wspaniałości olbrzymia kula, nito glob świetlany, chłonący i rozsiewający hojnie blaski — gdzie w ucieszonym skrócie, odbijał się cały ogród Wika i on sam z rozpłaszczoną cudacznie olbrzymią głową, maleńkim korpusem i krótkiemi nóżkami.

Piotr Jan Wik był nad wyraz szczęśliwym. Siedział w swoim ogrodzie, kąpał się w słońcu i podziwiał te cuda Boskie. To, co miał teraz, przechodziło najśmielsze jego marzenia. Bo nietylko kwiaty sprawiały mu tysiące uciech — w miarę jak rosły i rozwijały się — ale i ta cała brzęcząca, rojąca się i wirująca niezmordowanie czeladka owadzia, którą przynęcił ze świata miodny zapach ogrodu, dbała również o to, aby Piotrowi Janowi dostarczyć jaknajwięcej rozrywki.

I tak siedząc na ławce, obserwował pilnie armję mrówek, kroczącą w poważnem skupieniu po złotym piasku ścieżki Idą, wysławszy forpoczty naprzód... naraz „Stój"! Zatrzymują się jak wryte: „Co się stało"?... „Przeszkoda". Maleńka kałuża wstrzymała marsz, wytyczony przez Główne Dowództwo... Chwila wahania i narady: „Na prawo zwrot!"... I już po chwili, ominąwszy kałużę, kroczą pospiesznie naprzód.

Z dziecinną radością odkrywał na płatkach i w kielichach kwiatów „boże krówki" i moc innych zielonych chrząszczyków, których nazwy nie znał; przyglądał się im godzinami, jak błyskając szmaragdami pokryw, pięły się po łodygach i listkach, które uginały się pod ich ciężarem, by wkońcu dobić do miodowej przystani.

W powietrzu bieliło się od śnieżnych motyli, które wymieniały ze sobą przelotne pocałunki, opadały lekko na spragniony pieszczoty kielich i znów niosły się dalej, pełniąc swą pracę radosną! Widział jak wiatrem niesione nasionka wpadały w szeroko rozwartą głąb kwiecia i słuchał z zajęciem brzęku zabiegliwych pszczół, nie bojąc się ich żądła.

Raz nawet ujrzał królowę pszczół, jak szybowała wyżej, coraz wyżej na spotkanie wybranego losem rycerza, aby tam w błękitach święcić z nim gody weselne.

Roiło się brzęczało, bzykało i trzepotało w Wikowym ogrodzie, to znów szukało się nawzajem i znajdowało, spijało potrochu miodu, kąpało się w rosie kwiatów i pląsało w blaskach słonecznych.

Na widok tych wszystkich cudowności radował się Piotr Jan Wik i uśmiechał błogo. Wszak to wszystko było jego... jego tylko...

Nikomu w biurze nie wspominał o swoim ogrodzie, bo i pocóż?!

Cóż, kiedy — niewiadomo skąd — dowiedziano się o nim wkońcu. Jednego dnia gruchnęło po wszystkich biurach: „Piotr Jan Wik ma swój własny ogród". „Musimy go odwiedzić... biedaczysko nudzi się zapewne w nim, siedząc wciąż sam tylko". I już zaraz w niedzielę przyszli hurmem do niego: „Tak, ani słowa; ogródek jest ładny, to każdy przyznać musi".

A następnej niedzieli przyszli znowu, ale już nie sami, lecz w towarzystwie swych „jedynych", kazali przynieść piwa i sera, śmiali się i hałasowali, chwaląc sobie ogródek Wika. Wnet pokryły się żółte, starannie wypracowane ścieżki, bujne trawniki i kwietne rabaty niedopałkami papierosów i cygar, skórkami z kiełbasy i sera szwajcarskiego. Dziewczęta zrywały kwiaty, aby wieczorem, kiedy już zwiędły, odrzucić je precz od siebie i goniły motyle, które nienawykłe do widoku tylu hałasujących i dymiących ludzi i wystraszone, opuszczały pospiesznie ogród, podobnie jak i, odurzone dymem, pszczoły, które chroniły się szybko do odległych uli.

„No, chwała Bogu, poszły sobie nareszcie te wstrętne, podłe pszczoły" — cieszyły się dziewczęta, grasując już teraz bez żadnej obawy po Wikowym ogrodzie.

Odtąd przychodzili w każdą niedzielę... Piotr Jan Wik siedział na uboczu, nie biorąc udziału w zabawie i czuł coraz wyraźniej, że jest tutaj zupełnie zbyteczny. Zresztą koledzy nie troszczyli się o niego wcale, zapomniawszy o jego istnieniu.

— E stary nudziarz i dziwak! — orzekli wkońcu i, śląc po nowe wciąż flaszki, pili dalej, grali w karty i hałasowali.

Jednej niedzieli Piotr Jan nie przyszedł już do „swojego" ogrodu.

— Obejdzie się bez niego... psuje nam i tak zabawę swą wiecznie skwaszoną miną.

Już teraz nie musieli się ani trochę krępować, pili jeszcze więcej, a śmiechom i hałasom nie było już końca.

— — — — — — — —

Tymczasem Piotr Jan Wik stał w oknie swego pokoje i liczył małe, białe, wełniste chmurki-baranki, które goniły po niebieskiej łące i myślał o „swoim" ogrodzie.

ZWYCIĘZCA CZASU i PRZESTRZENI



Marconi na swoim jachcie „Electra".

Kiedy przed niedawnym czasem świat dowiedział się o śmierci Marconiego, wiedzieliśmy, że odszedł człowiek, o którym pamięć szybko nie minie. Dziesiątki miljonów abonentów radjowych zdawało sobie sprawę, że gdyby nie Marconi, to kto wie, co działoby się dzisiaj z telegrafją bez drutu i z telefonją bez drutu. Znaczenie radja dla ludzkości zrozumiałe jest nawet dla najprostszego człowieka. Pomijamy już fakt, że najszersze masy stały się w ten sposób konsumentami muzyki i korzystają z różnych form artystycznych, wyrażanych zapomocą mówionego słowa, ale radjo, to przecież idealny środek... komunikacji! Znakomity środek przekazywania wiadomości, nieznający ograniczenia w czasie czy przestrzeni. Cóż mówić o takim środku komunikacji, dla którego czas wcale nie istnieje? Bo przecież sygnały nadawane rozprzestrzeniają się z szybkością przechodzącą ludzkie pojęcie, bo wynoszącą około 300.000 km na sekundę! A przestrzeń również została pokonana przez radjo, skoro komunikacja z antypodami stała się rzeczą niesłychanie łatwą i skoro z najodludniejszej pustyni, z białych pól podbiegunowych, z bezmiernych przestworzy powietrznych można zapomocą aparatu radjowego nawiązać łączność z całą kulą ziemską. Przesadą oczywiście byłoby, gdyby się powiedziało, że wszystko to mamy do zawdzięczenia wyłącznie tylko Marconiemu! Uczeni wszystkich ras i krajów współpracowali nad tym wynalazkiem. Udoskonalili go technicy, rozrzuceni po laboratorjach i zakładach przemysłowych całej kuli ziemskiej. Ale sam początek, trwałą podstawę, stworzył Marconi. Miał on odwagę czynu i odwagę myśli. Po raz nie wiem który okazało się, że samo odkrycie teoretyczne stanowi dopiero surowiec dla dobrego majstra i że ostatecznie dzieło zostaje uwieńczone przez tego człowieka, który istniejące idee i zdobycze naukowe potrafi powiązać ze sobą tak, aby powstała z tego nowa całość i nowy twór.

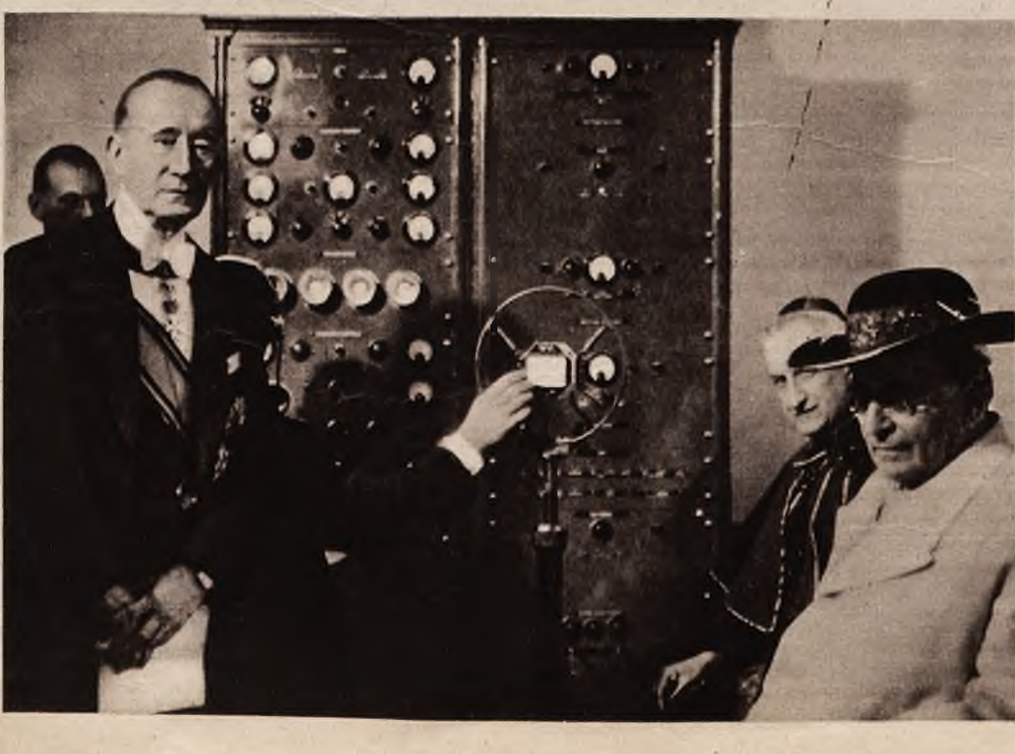
Przypomnijmy sobie kilka szczegółów z życia Marconiego. Urodzony 25 kwietnia 1874 roku jako młodszy syn włoskiego ziemianina (inni powiadają że bankiera) i Angielki Anny z domu Jameson, już w najmłodszych latach objawiał zainteresowanie dla fizyki, a szczególnie dla nauki o elektryczności. Na czas jego młodości przypada jedno z najdonioślejszych odkryć w dziedzinie fizyki. Około bowiem 1890 r. wykrył i doświadczalnie udowodnił istnienie fal elektromagnetycznych genjalny fizyk Henryk Hertz. Było to znakomite potwierdzenie teorji Maxwella, jedno z najpiękniejszych w historji nauki. W r. 1893 włoski uczony Righi skonstruował aparat wytwarzający iskry elektryczne, promieniujące silnie energję elektryczną w postaci fal elektrycznych. W r. 1890 Francuz Branly stworzył tzw. „koherer", nadający się znakomicie do wykrycia fal elektromagnetycznych, znacznie lepiej, aniżeli rezonator, używany przez Hertza. Już przy pomocy tego „koherera" można było odbierać sygnały elektryczne z niedalekiej odległości. Uczynił to Rosjanin Popow w r. 1895. Używał jednakowoż fal elektrycznych i „koherera" do badania elektryczności atmosferycznej. Popow posługiwał się już anteną odbiorczą w postaci druta, która ściągała niejako elektryczność atmosferyczną do odbiornika, podobnie jak gromochron. Szmery i trzaski, które dzisiaj słyszymy w aparacie radjowym w czasie burzy, były wówczas jedynemi sygnałami odbieranemi z eteru, z tą jednak różnicą, że wówczas nie było mowy jeszcze o odbiorze akustycznym Tylko kreski i punkciki rysowane przez rylec aparatu odbiorczego na taśmie papierowej, podobnie jak w aparacie telegraficznym, były widomym znakiem działania elektryczności na odbiornik.



W kole: Wielki uczony w towarzystwie pomocników Kempa i Pageta w Nowej Fundlandji w r. 1901.

Taki oto stan rzeczy zastał Marconi. Mowy jeszcze nie było o możliwości zastosowania istniejących urządzeń elektrycznych do przekazywania wiadomości na odległość. Wprawdzie angielscy uczeni Oliver Lodge i William Crookes wypowiedzieli już myśl o możliwości wyzyskania fal elektrycznych dla celów telegrafji bez drutu, ale były to tylko pomysły na poły fantastyczne bez żadnych prób zrealizowania praktycznego. Marconi był tym, który miał odwagę nietylko przemyśleć rzecz do końca, ale i praktycznie wypróbować metodę telegrafji bez drutu.

Już pierwsze próby, przeprowadzone w domu ojca w Pontecchio w pobliżu Bolonji zainteresowały młodego człowieka i dały mu podnietę do dalszych prac. W trakcie tych prób zastosował Marconi



Na lewo: Papież Pius XI w towarzystwie Marconiego przysłuchuje się, po otwarciu radjostacji watykańskiej, ciekawej audycji.

po raz pierwszy w stacji nadawczej antenę i dzięki temu mógł już przesyłać fale elektryczne o takiej mocy, że można je było nawet wykryć, a zatem odebrać w postaci sygnałów w odległości kilku km. Posługiwał się on w swoim odbiorniku również „kohererem“ w postaci rurki wypełnionej opiłkami niklowymi i srebrnymi. Rurka ta jednym końcem połączona była z ziemią, a drugim z anteną. Była ona właściwym detektorem, czyli dosłownie wykrywała fale elektryczne. Wcześnie już poznał także Marconi, że odległość, na którą można telegrafować bez drutu, zależy w znacznej mierze od wysokości położenia anteny nad ziemią. To odkrycie zostało podkreślone w pierwszym jego patencie i opisane bliżej w liście z dn. 14 listopada 1896, który Marconi wystosował do Williama Preece'a, naczelnego inżyniera poczty brytyjskiej.

Poza wszystkiem miał Marconi nieprawdopodobne szczęście, szczęście, które może się równać tylko z powodzeniem Edisona, szczęście o jakiem marzą wynalazcy na całym świecie i które tylko nielicznym dostaje się w udziale. Trafił on odrazu na człowieka, który miał pełne zrozumienie dla wspaniałej inwencji Marconiego i odwagi jego pomysłu. Preece sprowadził młodego uczonego do Anglji, gdzie w r. 1896, dnia 2 czerwca otrzymał pierwszy patent, jaki kiedykolwiek został wydany na telegrafję bez drutu. Data ta jest naprawdę historyczną: Znaczenie jej jest może ważniejsze, niż data niejednej z wielkich bitew, stoczonych w niezliczonych wojnach. Pierwsze doświadczenia przeprowadził wobec reprezentantów świata oficjalnego na dachu generalnej dyrekcji poczt w Londynie, później nad kanałem brystolskim.

Dopiero po uznaniu go przez angielskie urzędy, poznała się na nim jego własna ojczyzna i w r. 1897 Marconi zaproszony przez rząd włoski zademonstrował nadawanie i odbiór sygnałów telegrafji bez drutu na okrętach wojennych, znajdujących się w odległości trzydziestu kilku km. Można sobie wyobrazić, jak dalece rzecz ta interesowała wszystkich, jeśli król włoski i królowa oraz liczni deputowani brali udział w tych doświadczeniach.

Marconi nie był przeciętnym typem uczonego nie umiejącego eksploatować praktycznie i materjalnie swoich dokonań. Wprost przeciwnie! Był to człowiek interesu. I właśnie to może było szczęściem dla samej sprawy radja, gdyż dawało mu dalszą podnietę do udoskonaleń i postępu. W r. 1897 powstało pierwsze towarzystwo telegrafji bez drutu pod nazwą „Wireless Telegraph and Signal Company Limited.“, które w r. 1900 otrzymało nazwę „Towarzystwa telegrafji bez drutu Marconiego“. Towarzystwo to, w którem brało udział kilku finansistów, forsowało i popierało prace badawcze Marconiego i utworzyło stałe stacje nadawcze na wyspie Wight. Można sobie wyobrazić, że w pierwszym czasie towarzystwo było pod względem handlowym pasywne. — Pierwszy raz dla celów finansowych użyty został wynalazek Marconiego do transmisji wyników regat jachtów dla dziennika „Dublin Express“, w r. 1896. W tymże roku po raz pierwszy użyto telegrafji bez drutu dla uzyskania łączności z odludnemi latarniami morskiemi W r. 1899 przyczyniła się telegrafja bez drutu po raz pierwszy do uratowania życia załodze tonącego okrętu. W r. 1898 osiągnięto łączność radjotelegraficzną między Anglją a Francją, a po raz pierwszy zastosowano telegrafję bez drutu w wojnie z Boerami.

Od tego czasu mnożyły się patenty Marconiego z roku na rok. Najsłynniejszym z nich stał się patent pod nazwą czterech siódemek, miał bowiem nr. 7777. Został on zgłoszony w roku 1900

Na epokowem znaczeniu radjotelegrafji poznano się dnia 12 grudnia 1901, kiedy udało się Marconiemu po raz pierwszy przesłać sygnały telegraficzne ponad oceanem Atlantyckim z stacji Poldhu w Kornwalji do Nowofunlandji. Potwierdziło to zdanie Marconiego, że fale elektryczne nie znajdują przeszkody w krzywiźnie kuli ziemskiej i że mogą być użyte do połączenia jakichkolwiek dwu miejsc na naszej planecie, co do niedawna podawano w wątpliwość. Zdobycie Atlantyku dla radjotelegrafji może być uważane poniekąd za punkt kulminacyjny w działalności pionierskiej Marconiego. W r. 1902 odbierał Marconi na amerykańskim statku pasażerskim sygnały z odległości 2000 mil w nocy, a z odległości 700 mil za dnia. Było to również potwierdzeniem jego zdania, że w nocy sygnały radjowe docierają znacznie dalej aniżeli za dnia. W tymże roku wynalazł i opatentował on nowy detektor magnetyczny oparty na działaniu fal elektrycznych na żelazo i stal, poddane działaniu zmiennego pola elektrycznego. W latach następnych coraz bardziej wzrastała odległość, na jaką można było przekazywać sygnały radjowe. Po raz pierwszy została połączona Anglja z Australją zapomocą radja we wrześniu 1918 r.

Dokończenie na str. 24-ej.



Uroczyste posiedzenie Akademji Italskiej, której prezesem został Marconi. Na lewo Benito Mussolini.



Oto pierwsze praktyczne zastosowanie mikrofonu: słynna artystka Melba, śpiewa przed mikrofonem w roku 1920.



Pierwszy detektor magnetyczny, zbudowany przez Marconiego.



Jako młody uczony, Marconi przeprowadza próby, które stały się podstawą wynalazku radja.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: FOT. MICHAEL LORANT — LONDYN



SIOSTRY

FOT. WILLINGER — WIEDEŃ

FILM SZUKA NOWYCH DRÓG





U góry: Wycinek z filmu Sandy'ego — »Pretekst«. Niżej: H. Chomette — »Pięć minut czystego kina«.





Dwie klatki z filmu »Beton« J. M. Brzeskiego.

W bieżącym roku S. A. F. (Spółdzielnia Autorów Filmowych w Warszawie) — urządziła dwa pokazy filmowe o niezwykłej sile atrakcyjnej. Na pierwszym seansie wyświetlono filmy awangardy angielskiej, podczas drugiego całokształt wysiłków i pracy awangardy francuskiej nad stworzeniem filmu artystycznego. Oba te pokazy cieszyły się wielkiem powodzeniem, niemniejszem niż pierwszy o podobnych zamierzeniach pokaz filmowy w Polsce, urządzony w r. 1931 w Krakowie.

Z racji tych dwóch warszawskich seansów, S. A. F. wydała dwa numery perjodyku nad nazwą F. A. (Film Artystyczny). Numery F. A. poświęcone zostały artystycznemu filmowi angielskiemu i francuskiemu.

Filmowa awangarda polska rozwijała się prawie niezależnie od poczynań zagranicznych. Była ona spóźniona w swych pracach, co sprawiło, że weszła w krąg trudniejszych i bardziej skomplikowanych zadań.

Idee awangardy filmowej wzięły początek we Francji, gdzie inicjatorem tego ruchu był Canudo. [1]) Zorganizował on stowarzyszenie pod nazwą „Le Club des Amis du Septième Art" i urządził na „Jesiennym salonie" paryskim seansy filmowe. Miało to miejsce w r. 1921 i trzeba przyznać, że jak na owe czasy był to czyn prawie rewolucyjny.

Na wzór tego pierwszego stowarzyszenia filmowego o ambicjach czysto artystycznych — powstały na terenie Paryża liczne kluby, o zbliżonej strukturze i tendencjach. W roku 1924 powstała w tem mieście grupa reżyserów filmowych, którzy zrealizowali już szereg filmów. Do wspomnianej grupy należeli: A. Gance („La Roue", polski tytuł „Koło udręki"), Feyder („L'Image", sławny dziś realizator francuski, twórca genjalnego obrazu p. t. „Kobiety zwyciężyły", nagrodzonego na jednym z festivalów filmowych), L'Herbier („Résurrection", „L'Inhumaine", wyświetlane w Polsce), Chomette („5 Minutes de cinéma pur"), Sandy („Pretekst"), Lacombe („La Zône"), Léger („Le ballet mécanique") i in.

W tym czasie powstało pierwsze w Paryżu kino, wyświetlające filmy awangardy: „Studio des Ursulines". Kino to zainaugurowało otwarcie filmami przedwojennemi i awangardy. Podobne zestawienia powtarzały się zresztą bardzo często, także w innych kinach awangardowych, m. in. w „Studio 29". Kino to w latach 1928—1931 wyróżniło się doborem filmów i charakterem swego urządzenia.

Gwałtowny rozwój techniki w latach powojennych sprawił, że film dokonał olbrzymiego kroku naprzód. Doszedł on na przestrzeni krótkiego czasu do doskonałości, — która nie marzyła się twórcom kinematografji. Jednocześnie wraz z rosnącemi możliwościami technicznemi kina — stało się ono widownią i terenem rewolucyjnych wstrząsów aż do czasu pewnego skrystalizowania się form.

Drogi francuskiego filmu wytyczali prócz wymienionych powyżej twórców René Clair („Antrakt", „Pod dachami Paryża", „Miljon", „Naszą jest wolność", „14 Lipca"), Kirsanow („Menilmontant"), Epstein („La glace à trois faces"), Man Ray („Gwiazda morza", „Zamek z kości do gry"), Cavalcanti, Jean Choux („La servante", „Jean de la Lune"), Dreyer, Dreville, Gremillon, Desyalw, Starewicz, Jean Painlevé, Bunuel („Le chien Andalou" i „L'âge d'or").



Zdjęcie z filmu »Społem«. Reżyserją A. Ford. Zdjęcia St. Wohl.

Francuki film nadrealistyczny skierował swoje zainteresowanie w sferę imaginacji, częstych u ludzi irracjonalnych skojarzeń i uczuć subtelnych, wymykających się na codzień zpod kontroli umysłowej człowieka.

„Oficjalny" film francuski, a także amerykański nie przeszedł nad dokonaniami awangardy francuskiej do porządku dziennego. Skorzystał on z jej pracy i przyjął ją jako lekcję teoretyczną. Zastosowanie zdobyczy i odkryć pionierów awangardy musiało ulec poważnej redukcji na skutek oporu potężnego kapitału, finansującego film, idącego innemi drogami do celu.

Osiągnięcia techniczne filmu, doskonałość obrazów, nowe możliwości patrzenia aparatem na rzeczywistość, wreszcie dynamiczne wartości montażu stworzyły przedewszystkiem w Niemczech tendencję do odstąpienia od filmu fabularnego.

Teoretykom niemieckim, jak Balasz, Moholy-Nagy — pomagali praktycznie Ruttmann i H. Richter. Eggeling, malarz szwedzki, swoją „Symfonją skośną" dał początek rozwojowi awangardy niemieckiej. Richter, idąc za wskazaniami Moholy-Nagy — zrealizował swoje filmy („Inflation", „Rennsymphonie"), które opierały się na wartościach dynamiki, ruchu i przez odpowiedni montaż, ruch kamery i dobór tematów dały nowe wartości. Richter zajął się też kwestją pielęgnowania wrażeń widza drogą odpowiedniego montażu

Ruttmann w swej „Symfonji wielkiego miasta" dał reportaż pozbawiony fabuły, a akcję i ciągłość stwarzały następujące po sobie zjawiska, ciekawie zaobserwowane.

Warto wreszcie wspomnieć Fischingera, — niemieckiego twórcę sztucznych tonów. Fischinger rysował utwory muzyczne na taśmie zapomocą schematycznych form, wywołujących odpowiednie dźwięki głośnika. Ponadto Fischinger ujawnił dźwięk, jego rytmy i melodję na taśmie przy współudziale rysowanych figur abstrakcyjnych.

Poza Francją i Niemcami ruch awangardy rozwijał się pomyślnie w Holandji, Anglji i Belgji, gdzie powstały liczne kluby filmowe.

Z pośród członków awangardy angielskiej wspomnieć warto nazwiska Herringa i Blakestona, który nakręcił film pt. „I do like to be beside the Seaside".

W Polsce ruch awangardy zaczął się mniejwięcej od r. 1930. Wprawdzie przedtem pojawiały się manifesty i oceny filmów, nie skrępowane względami handlowymi, a wypowiadające jasno i odważnie poglądy polskich teoretyków na film. Jednak nie był to skoordynowany prąd czy praca, którą nazwaćby można wspólnem mianem.

W Krakowie w r. 1931 na wiosnę odbył się pokaz filmowy, którego program i dobór wyświetlanych obrazów posiadał raczej jednolity charakter w dążeniu do przedstawienia rozwoju filmu na przestrzeni lat kilkudziesięciu i jego ostatnich przejawów.

Pokaz ten odbył się przy wystawie fotografji nowoczesnej, w której brali udział m. in. Man Ray, Deslaw, Florence Henri — z Paryża. Na program przedstawienia składało się pięć filmów. Film Meliés'a z r. 1911, film naukowy, film Ruttmanna pt. „Symfonja wielkiego miasta", montaż filmowy J. M. Brzeskiego „Przekroje" i obraz amerykański z t. zw. „ekranu oficjalnego". Ten ostatni film pokazano nietylko dla przeciwstawień, ale także dla spopularyzowania spektaklu w Krakowie, co jednak przy powtórce pokazu okazało się zbyteczne, bowiem publiczność krakowska, która napłynęła tłumnie — odniosła się z pełnem zrozumieniem i entuzjazmem dla pokazu.

„Przekroje" pierwsza bodaj próba beztreściowego filmu w Polsce, były montażem różnych skrawków taśm, które w swym układzie, nastroju barwy, dynamice ruchu miały być próbą wywołania u widza pewnych odczuć li tylko na drodze wzrokowej.

W rok później powstała w Krakowie placówka filmu awangardowego pod nazwą: „S. P. A. F.". Stowarzyszenie to urządziło szereg odczytów, wieczorków filmowych i pokazów kinowych. W tym czasie zwrócono się do Stowarzyszenia z propozycją wyświetlenia filmów awangardy francuskiej. Wysokie jednak ceny tych filmów (wahające się od 600 franków do 450 dola-

Dokończenie na str. 24-ej.

Od barci do ula



Na lewo: Bartnik dostawszy się za pomocą lin na drzewo, pracuje przy barci.



Na prawo: Jedna z końcowych faz ewolucji ula nierozbieralnego — dziuplaka.

Jak podają uczeni, przejście od gospodarki pszczelniczej w barciach, to jest w dziuplach żywych drzew, do następnego stopnia postępu, który wkońcu miał doprowadzić do nowoczesnego ula, rozpoczęło się na ziemiach polskich zgórą czterysta lat temu i trwa... do dnia dzisiejszego. Jeszcze dziś znajdują się na terenie Polski średniowieczne barcie zagospodarowane i użytkowane. W pierwszym rzędzie wymienia się tu słynną barć we wsi Teodorowo w pobliżu Ostrołęki. W drugiej połowie XVIII-go wieku miało znajdować się w jednej tylko puszczy Tucholskiej około 20 tysięcy barci, a jeszcze w roku 1827 w lasach rządowych Królestwa Polskiego zarejstrowanych ich było blisko 18 tysięcy. Jeśli weźmiemy teraz pod uwagę, iż już w wieku XV-tym pojawiają się pierwsze dane historyczne odnoszące się do gospodarki pasiecznej na naszych ziemiach, oraz że w różnych punktach kraju odnaleźć można dzisiaj w stanie zagospodarowanym niemal dosłownie wszystkie okazy pomieszczeń pszczół w całej ich ewolucji kilkusetletniej, zrozumiemy barwność całego obrazu.

Odbywałem wycieczkę po Puszczy Białowieskiej. Przypadek zdarzył, iż w gronie osób, z któremi udałem się na przechadzkę po Parku Narodowym, przebywał p. Stefan Blank-Weisberg, profesor S. G. G. W. i kierownik Zakładu Pszczelarstwa tejże uczelni. Rozmowa toczyła się oczywiście o drzewostanie Puszczy i jego wieku.

Podeszliśmy bliżej i z zainteresowaniem słuchaliśmy wyjaśnień uczonego.

W niepamiętnych czasach pszczelarstwo polegało wyłącznie na gospodarce rabunkowej, polegającej na podbieraniu miodu pszczołom dzikim. Dziś pszczoła jest już nietylko przedmiotem eksploatacji, ale i racjonalnej hodowli.

Najprymitywniejszemi pomieszczeniami, w których hodowano pszczoły, były dziuple drzew powstałe przez próchnienie, bądź wykute przez dzięcioły. Następnie poczęto wykuwać w drzewach dziuple sztuczne, zwane barciami, i to na wysokości kilku a nawet kilkunastu metrów ponad ziemią. Dla przerwania wzrostu drzewa wzwyż, a jednocześnie dla spowodowania szybkiego zwiększania się grubości pnia, drzewo bartne bywało ucinane u góry; stąd rozrastało się ono raczej wszerz, nabierając kopulastego kształtu.

Umieszczanie barci na znacznej nieraz wysokości miało wiele przyczyn. Chodziło o ochronę barci przed rabusiem-człowiekiem i przed łakomczuchem-niedźwiedziem. — Niedźwiedź przepada za miodem i potrafi wdrapać się za nim na najwyższe nawet drzewo. Poza tem im wyżej pszczoły mają swe gniazdo, tem obfitszy jest zbiór miodu.

Jeśli chodzi o rabusia-człowieka, przed nim bartnika od najdawniejszych lat chroniło w Polsce prawo. Już w wieku XIV mieliśmy bartne pisane prawo. Znakiem własności barci zagospodarowanej nieraz w głębokim lesie, były karby, jakie bartnicy umieszczali na drzewach (t. zw klejma).

Jednakże sama wysokość drzewa nie chroniła barci przed niedźwiedziem. Sporządzano zatem pewne specjalne urządzenia, jak „samobitnie", t. j. ruchome kloce umieszczone przed barcią, bądź też t. zw. „odenki" to jest rodzaj tarczy ochronnych umieszczonych w połowie wysokości drzewa.

Zastanawiającem musiało być, w jaki sposób bartnik dostawał się do barci. Nie do pomyślenia jest, aby mogło się to odbywać przy pomocy drabiny; ale i w tym drobiazgu złapać możemy życie ubiegłych stuleci jeszcze dziś na gorącym uczynku. Jak wspomniałem, w powiecie grodzieńskim jeszcze dzisiaj prowadzona jest gospodarka bartna, a pszczelarze dostają się tam na drzewa przy pomocy „leziwa", to jest dość skomplikowanego systemu sznurów i deseczek. Niewątpliwie odbywa się to tak, jak uczyli naszych dzisiejszych, ostatnich bartników ich pra-pradziadowie.

Ewolucja ula przeszła przez kilkanaście szczebli. By nie zagłębiać się w szczegóły interesujące niewątpliwie więcej naukowca, niż ogół Czytelników, opiszę je w skrócie.

Zapewne pierwszym krokiem do „unowocześnienia" pszczelarstwa było... obcięcie drzewa bartnego powyżej i poniżej barci, i ustawienie samej barci w pobliżu domostwa właściciela. Tego rodzaju barć ścięta, przekształciła się wkrótce w t. zw. stojak, który znany jest u nas od końca XV-go wieku, i do dzisnaj stanowi jeszcze najpospolitszy typ ula nierozbieralnego.

W innym kierunku poszła ewolucja, która dała jako wynik ul, zwany „kłodą". Kłody są to ule wyrabiane z okrąglaków, różniące się od barci tem, że sporządzono je w drzewie martwem. Kłody ustawiane były (i są jeszcze) wprost na ziemi w pozycji pionowej lub poziomej, lub też w rosnących drzewach, wreszcie na sztucznie zbudowanych rusztowaniach. Stąd rodzaje kłód: stawki, kłody na staniach, na sochach i kłody-leżaki.

Od połowy ubiegłego stulecia stojaki przerabiane były niekiedy na ule ramowe, skąd już tylko krok do nowoczesnego ula. Należy jednak zauważyć, że niekiedy amatorzy-pszczelarze, chcąc swym pasiekom nadać specjalny archaiczny wygląd, nieraz z dużym smakiem i poczuciem artyzmu budują i teraz stojaki ramowe.

Należy jeszcze wymienić inne formy ula t. zw. paki, dziuplanki i bezdenki.

Polskie, a właściwie szerzej mówiąc — słowiańskie pszczelarstwo posiada wybitnie wyodrębniający je od innych narodów charakter. Takie barcie i takie kłody, jakie są, względnie były używane na terenie Polski, znane są w identycznej niemal postaci na Litwie i całem pobrzeżu Bałtyku, w Rosji, Czechach oraz na tych terenach Niemiec, które uprzednio zamieszkiwały ludy słowiańskie. Stąd prosty wniosek, iż zasięg dawnych barci i uli kłodowych wykreśla bardzo dokładnie dawny zasięg Słowian zachodnich na terenie państwa niemieckiego.

W Niemczech, jak wogóle w krajach mniej zalesionych, pszczelarstwo rozwijało się nie tak intensywnie jak w krajach słowiańskich. Dowodem tego jest, iż w Niemczech dotychczas jeszcze używa się przeważnie tak zwanego ula „Dzierżona", pochodzenia polskiego, który u nas jednak został już zastąpiony przez ul rozbieralny, z górną obsługą.

Niestety pszczelarstwo polskie jest wciąż jeszcze niewykorzystaną gałęzią gospodarki narodowej. Dość powiedzieć, że mimo możliwości rozwoju pszczelarstwa, jeszcze do niedawna sprowadzaliśmy miód z zagranicy.

Miejmy nadzieję, że odżyją jeszcze piękne, wiekowe tradycje polskiego pszczelarstwa...

Mgr. Roman Burzyński.

ZDJĘCIA FOT. PROF. WEISBERG.





Na prawo: Kłoda — leżak z ulem nierozbieralnym. Zdjęcie dokonane w powiecie zamojskim.

Na lewo: Odenek jeden z starodawnych sposobów zabezpieczania barci przed niedźwiedziem

woda...



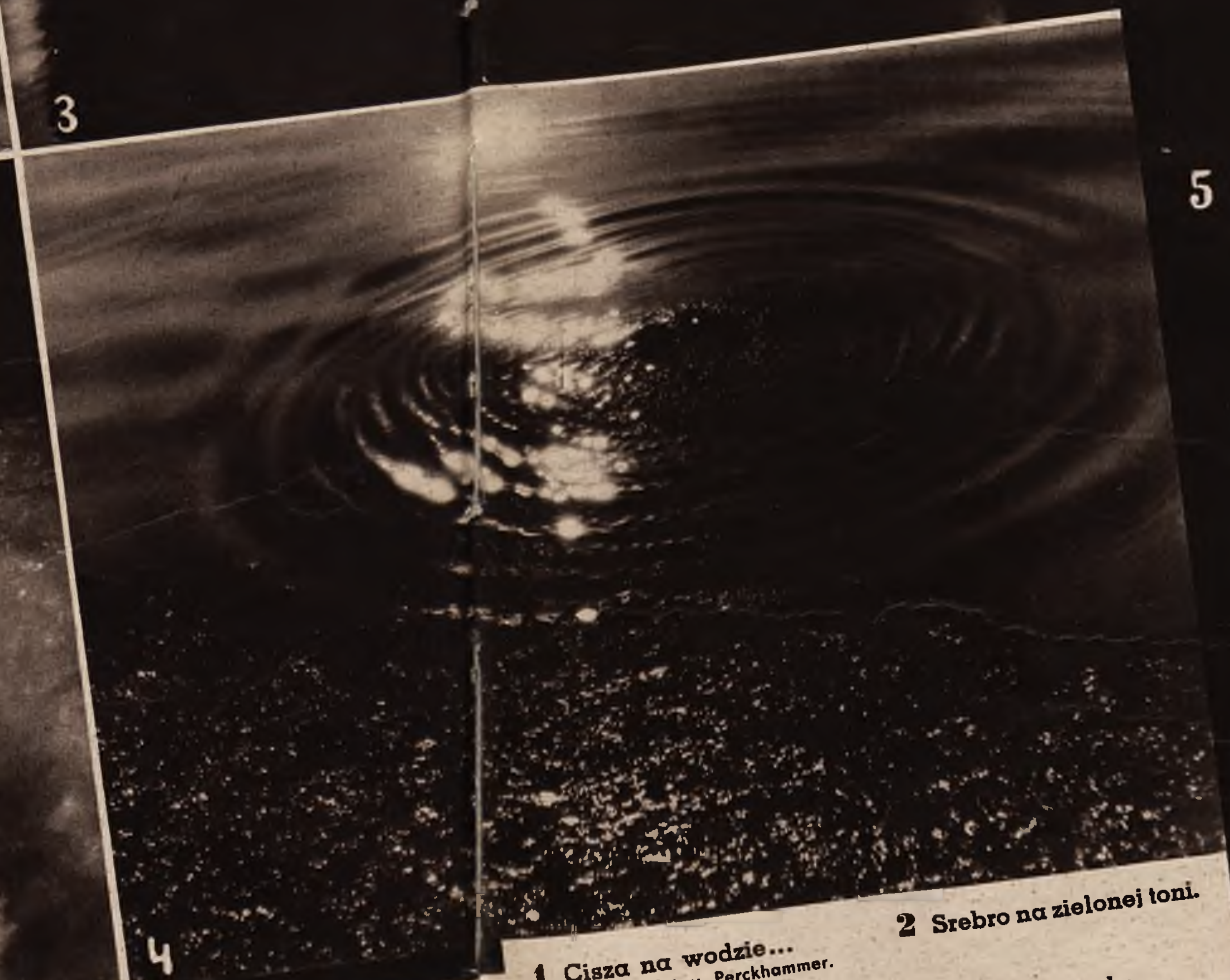
1



2



3



4



5

1 Cisza na wodzie...
Fot. v. Perckhammer.

2 Srebro na zielonej toni.

3 Woda tajemnicza.
Fot. v. Perckhammer.

4 Księżyc i woda.
Fot. v. Perckhammer.

5 Żywioł twórczy i niszczący.
Presse Photo — Berlin.

Prastare podanie mówi, że Narcyz ujrzawszy swe oblicze w tafli wodnej zakochał się w swej postaci. Najdawniejszem więc zwierciadłem stała się wodna, lśniąca tafla, w której po dziś dzień odbija się nietylko nad wodą rosnące drzewo, chmury ciągnące leniwie po niebie czy człowiek siedzący u jej brzegu, ale przedewszystkiem nastrój panujący w naturze. Woda, niczem czuły sejsmograf, odzwierciedla drobne, nieuchwytne nieraz szczegóły nastroju i charakter krajobrazu. Bo są wody ponure, są też wesołe, rozfiglowane, jak ludzie, do których się uśmiecha życie

Mówią, że niektóre morza i wody mają swój własny kolor: jest to przesada, gdyż posiadają ich one znacznie więcej, zmieniają się jak człowiek, zależnie od pory dnia, od nastroju, od wielu innych okoliczności A cóż dopiero powiedzieć o „stroju uroczystym", jaki przybiera woda w pewnych chwilach swego życia? O srebrzystej pianie, podobnej nieraz do brabanckiej koronki lub lśniącego brokatu? A czy można pominąć różne grymasy wody, jej „zmarszczki", które nieraz zmieniają zasadniczo jej oblicze? Woda, podobnie jak człowiek, miewa swoje humory, swoje dni dobre i złe. Raz przypomina energicznego mężczyznę, to znów rozkapryszoną kobietę. Gdy księżyc zalśni na wodnej toni, i posrebrzy jej taflę, jakiś dziwny nastrój zaczyna nas ogarniać: zdaje się nam, jakby jakieś ciche głosy wydobywały się z głębin, każde kółko, tworzące się na wodzie, zdaje się wskazywać na jakieś istoty zamieszkujące głębiny. Stare legendy o świteziankach, o syrenach, stają się dla nas zrozumiałe. Gdy słońce wzejdzie nad wodę, kiedy złote jego promienie poczną dodawać swoiskich błysków, wszystkie nasze nocne majaki pierzchają i znów woda czyni na nas wrażenie dobroczynnego żywiołu.

m.

W GNIEŹDZIE WIELKIEGO RODU



„Scutum opponebat scutis“ — tarczę przeciwstawiał tarczom, — oto dumna i rycerska dewiza herbowa Potockich, widniejąca na niezliczonych budowlach, wzniesionych przez tę rodzinę na dziełach sztuki i cennych pamiątkach. I rzeczywiście Potoccy w ciągu swej historycznej karjery, t. j. począwszy od połowy XVI wieku po dziś dzień wszędzie i zawsze, mądrze i konsekwentnie dobijali się wpływowego miejsca, zeszły z szerokiej areny wydarzeń, — Potockim gwiazda ta przyświecała przez pełne trzy wieki, potężniejąc, nabierając blasku i otaczając ich nazwisko coraz to większem znaczeniem. Stoją oni przecież, jeżeli idzie o liczbę senatorów na drugiem miejscu wśród możnowładczych rodzin polskich, bo mają ich aż 38, gdy Radziwiłłowie posiadają ich 40! A większość tych Potockich, — hetmanów, biskupów, kasztelanów, — to nie senatorowie de nomine, ale ludzie dzielni, mądrzy, zapobiegliwi, prowadzący politykę rodzinną i tem pomnażający wielki dorobek przeszłości. Płytko pojęta demokracja, którą dziś często się popisują pseudo-socjologowie, niezrozumienie - dynamiki przeszłości, zasługi wielkich rodów, rzetelne i sprawdzalne, uważa nieraz zą narodowe pasywa, nie biorąc pod uwagę, że osobiste korzyści, jakie dana rodzina uzyskała przez swe stanowisko socjalne, nie mogą iść w porównanie z tem co, — mówiąc trywjalnie, — „wyłożyła“ na ratowanie Ojczyzny z różnych opresyj. Nic dziwnego więc, że i Potoccy obsypani zostali przez naszych królów starostwami, nadaniami i bogactwami, na które zresztą dobrze sobie zasłużyli.



Stanisław Kostka Potocki, portret pendzla Grassiego.



Zachodnia strona zamku łańcuckiego.

zdobywali sobie uznanie i znaczenie, przeciwstawiając się nieraz trudnościom z równem męstwem, jak dyplomacją.

Gdy Długosz w swoich „Clenodia Regni Poloniae“ wzmiankuje ród Pilawitów tylko krótko zaznaczając, że jest to „gens polonicum ad impietatem pronum“ (ród polski skory do braku pobożności), to już następne stopięćdziesiąt lat nietylko rodowi temu zdobywa wiele kart u heraldyków, ale też dementuje zdanie Długosza, gdyż Potoccy fundują liczne kościoły. Pod Jędrzejowem, w Krakowskiem leży włość Potok, z której późniejsi magnaci przyjęli swe nazwisko Jest to okolica, z której wyszli też inni Pilawici, o historycznem nazwisku — Kamienieccy, jak również Podfilipscy. Ale gdy wielu rodzinom tylko na chwilę, — w historji chwila taka trwać może wiek lub dwa, — zajaśniała gwiazda powodzenia, gdy wkrótce potem liczne potężne domy wielmożów, jak Tarłowie, Lipscy, h. Łada, Radziejowscy, Dzierzgowscy, Prażmowscy, Mieleccy i tylu innych,

Pierwszą wybitną postacią tej rodziny to Jakób Potocki, marszałek nadworny koronny króla Zygmunta Augusta. Już w trzeciem po nim pokoleniu spotykamy najwyższych dygnitarzy kraju, a m. in wielkiego wojownika pod dowództwem księcia Konstantyna Ostrogskiego, — Mikołaja, generała ziem podolskich, rotmistrza i regimentarza, który pod Newlem wsławił się wojennemi czynami. Mikołaj Potocki walczył z Siedmiogrodzianami, bronił króla pod Guzowem, ingerował razem z braćmi w sprawach Wołoszczyzny, powodując utrzymanie na tronie hospodarskim domu Mohyłów, z którym zresztą wkrótce Potoccy mieli się spokrewnić, otrzymując duże bogactwa w posagu. Inny generał ziem podolskich i wojewoda bracławski, — Stefan walczy przeciwko Szwedom, następnie walcząc po stronie Konstantego Mohyły dostaje się do niewoli tureckiej, z której ucieka łodzią. On to zbudował miasteczko Złoty Potok i fundował na pamiątkę swego ocalenia z niewoli klasztor OO. Dominikanów. Czyż można wymienić wszystkich wybitnych wojowników tej rodziny? W każdej niemal wojnie znajdujemy ich nazwiska. Stanisław „Rewera“ Potocki, wojewoda krakowski, pan na Podhajcach, służył rycersko przez lat 60, stawał w 46 bitwach! Umocnił on Kamieniec Podolski, przeszedłszy z kalwinizmu na katolicyzm, ofiarował Matce Boskiej w Częstochowie sadzoną brylantami buławę. Znany

Poniżej: Księżna Kentu na tle parku łańcuckiego





Cztery rodziny władały dobrami łańcuckiemi, które zależnie od działów rodzinnych powiększały się lub kurczyły: Pileccy, Stadniccy, Lubomirscy a wkońcu Potoccy. Dzieje miasta a z niem i zamku obronnego niegdyś zaczynają się w XIV w. Wiemy, że Władysław Jagiełło, bawiąc w Łańcucie w r. 1417 poznaje piękną Elżbietę Pilecką, wdowę po Wincentym Granowskim, córkę Ottona Pileckiego i Jadwigi, by ją wkrótce zaślubić. Przy końcu w. XVI od Pileckich przechodzi Łańcut do Stanisława Stadnickiego, h. Szreniawa, zwanego Djabłem i staje się ośrodkiem wojny domowej, prowadzonej przez gwałtownego starostę zygwulskiego z okolicznemi rodzinami a przedewszystkiem z Opalińskimi. On to przebudowuje stary zamek Pileckich, umacniając go znacznie. W r. 1629 panem Łańcuta staje się reprezentant w majątek i znaczenie wzrastającej rodziny, nowy hrabia Sancti Romani Imperii Stanisław hr. na Wiśniczu Lubomirski, wojewoda ruski. Był to jeden z najbo-

Goście Łańcuta wybierają się na przejażdżkę, celem zwiedzenia ciekawych zabytków przeszłości; powozi ordynat Alfred hr. Potocki, obok księżna Maryna, na tylnem siedzeniu widoczna księżna Liechtenstein.

z dobroczynności był też fundatorem miasta Stanisławowa, w Małopolsce. Również wielkich czynów wojskowych dokonał jego syn Andrzej, hetman polny koronny, który brał udział w wyprawie Jana III na Wiedeń. Syn tegoż Stanisław, padł śmiercią żołnierza w wiedeńskiej ekspedycji Inny hetman wielki koronny, Józef na Stanisławowie, Zbarażu, Niemiłowie itd. walczył z szwedzką przewagą w 300 ludzi pod Krakowem, ufortyfikował Stanisławów i wzniósł wiele świątyń i klasztorów. Ale nie tylko wojownikami umieli być Potoccy, również jako duchowni i na krzesłach senatorskich grali przez trzy wieki olbrzymią rolę. Wspomnę tylko Teodora Potockiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, Stanisława Kostkę, Ignacego Potockiego i wielu innych. Do laurów, zdobytych na polach walk i w radzie królewskiej dołączyli też laury literackie, wydając takich mężów, jak Jana Potockiego, sławnego podróżnika i autora, który stał się założycielem linji łańcuckiej Potockich.



Na prawo: Książę Kentu uwiecznił swym aparatem różne fragmenty łańcuckiego zamku. Na pierwszym planie ks. Kentu, po jego prawej ks. Maryna, za nią stoi Adamowa hr. Potocka, po lewej Roman hr. Potocki i hr. Tyszkiewicz.



Na lewo: Bibljoteka podręczna znajdująca się w apartamencie, który zajmują ks. Kentu.



Fragment zamku łańcuckiego. Zdjęcie zrobione podczas bytności p. Prezydenta R. P. Ignacego Mościckiego w Łańcucie.

gatszych magnatów owych czasów a małżeństwo z ks. Zofją Ostrogską przyniosło mu olbrzymie dobra. Nowy zamek, (stary Pileckich nie przedstawiał już żadnej strategicznej wartości), zawdzięcza Łańcut właśnie Lubomirskim. Zbudowali go na wolnem polu w północno-wschodniej stronie miasta według planów Włocha, Macieja Trapoli. Budowa trwała dziesięć lat, ale też zastosowano najnowsze zdobycze sztuki fortyfikacyjnej, zaopatrzono go w 80 dział spiżowych, a o obszerności zamku może świadczyć fakt, że w piwnicach przechowywano aż 400 beczek wina! Zamek posiadał obszerny cekauz (zbrojownię), otoczony był wałem i palisadą a do wnętrza twierdzy prowadziło jedno tylko wejście. Zamek miał cztery skrzydła i cztery wieże. Kilkakrotnie podczas licznych wojen, dewastujących Polskę musiał Łańcut zdawać egzamin „dojrzałości" wojskowej i zdawał go dobrze Przechodząc różne rekonstrukcje, odnowienia, poszerzenia itd.,



Powyżej: Sala balowa w zamku łańcuckim.



WSZYSTKIE ZDJ. A G FOT. »ŚWIATOWID«

Na lewo: Goście Łańcuta, na pierwszym planie od lewej: min. Beck, hr. Tyszkiewicz, księżna Maryna Kentu i jej małżonek, na drugim planie, w bramie, ordynat hr. Potocki.

zamek łańcucki wraz z dobrami przeszedł wkońcu w XVIII wieku na Potockich przez małżeństwo Jana Potockiego z najstarszą córką ks. marszałka — Stanisława Lubomirskiego i żony jego ks. Elżbiety z Czartoryskich, Julją. Piękne tradycje księcia marszałka, jego wielkie zdolności, znawstwo sztuki, szerokie horyzonty myślowe połączyły się w potomkach jego z zdolnościami Jana, znanego autora. W r. 1830 funduje z dóbr łańcuckich Alfred hr. Potocki, syn Jana ordynację, a sam będąc wzorowym administratorem, pomnaża swe dobra, chociaż nie ogranicza swej działalności do swych prywatnych interesów, występując też na forum politycznem, jako dobry patrjota. Wkrótce i w austrjackiej Galicji Potoccy tak majątkowo, jak też pod względem znaczenia politycznego zajmują pierwsze miejsce. Alfred Potocki, II ordynat łańcucki, premjer austrjacki, kawaler orderu Złotego Runa, Andrzej Potocki, namiestnik Galicji, również zaszczycony tem wysokiem odznaczeniem i wielu innych decydowało nieraz o losach zaboru austrjackiego i walczyło o jego prawa w Wiedniu. Chociaż dobra łańcuckie obszarem nie mogły się równać z posiadłościami np. Szczęsnego Potockiego, który na Ukrainie miał aż miljon morgów, to jednak posiadały cenny klejnot w postaci zamku, który w całej Europie tylko niewiele znaleźć może sobie równych Szczegółowe opisanie zamku i jego zabytków wymaga osobnej monografji: powiemy tylko, że zbiory jego obejmują w dziale malarstwa takie nazwiska, jak Van Dyck, Snyders, Boucher, Fragonard, Giov. Bellini itd., że znajduje się tam unikat w postaci serwisu chińskiego, ofiarowanego przez sułtana tureckiego królowi Janowi III, wspaniałe wazy starogreckie, rzeźby Canovy, Thorwaldsena, wspaniałe bronzy, meble wszystkich epok, z przewagą wieku XVIII, a jeżeli dodamy, że wszystkie te skarby sztuki ujęte są w wspaniałe ramy tworzone ze znawstwem, że zamek otoczony jest wspaniałym parkiem, posiada przepyszne stajnie, cieplarnie, ujeżdżalnie itd., to zrozumiemy, że nawet monarchowie, goszczący w murach łańcuckich nie mogli oprzeć się podziwowi, jaki odczuwali na widok tej pańskiej rezydencji. A wizyt monarszych nie brakło w Łańcucie: gościł on króla Jana Kazimierza, Augusta II, hr. Prowancji, późniejszego Ludwika XVIII, Franciszka Józefa, króla Ferdynanda rumuńskiego, pana Prezydenta Rzplitej, Ignacego Mościckiego, wkońcu obecnie brata króla angielskiego Jerzego, księcia Kentu wraz z Małżonką.

Dopiero widząc potężne mury Łańcuta, jego przepych i szeregując fakty, łączące się z jego dziejami, uzmysłowić sobie możemy jaką materjalną potęgą rozporządzała dawna Rzeczpospolita i jej potężne rody. Nie jest to fortuna jakiejś arystokratycznej rodziny niemieckiej czy francuskiej, ale państwo, której władcy nie byli bynajmniej zdziwieni, gdyby im ofiarowano koronę królewską. Powiedzenie Zamoyskiego w Trylogji Sienkiewicza „król jegomość szwedzki jest panem w Szwecji a ja w Zamościu", świetnie ilustruje potęgę ówczesnych magnatów. Toteż nazwisko Potockich znane w Europie i mające liczne koneksje w Austrji, Francji, Włoszech, Węgrzech itd., reprezentuje słusznie wielką przeszłość Polski, łącząc się z naszemi dziejami na każdej nieomal karcie.

Zamek łańcucki i zabytki, mieszczące się w nim są dla nas tem cenniejsze, że liczne burze dziejowe, które przeszły po ziemiach polskich, zmiotły z nich wiele cennych i ciekawych zamków, kościołów i zabytków wszelkiego rodzaju. Przecież jeszcze za Stanisława Augusta posiadaliśmp naprawdę liczne i wspaniałe siedziby, jak np. Dowszpude Paców, Nieśwież Radziwiłłów, Krystynopol Potockich, Stanisławów tejże rodziny, Lachowce Jabłonowskich i tyle innych. Pozostało niestety niewiele z nich; większość zabytków rozpierzchła się po świecie, zniszczała, lub dostała się w ręce zagranicznych antykwarjuszy, nie przeczuwających nawet skąd dany przedmiot pochodzi. Temu samemu losowi zresztą uległy liczne miejskie pałace, jak pałac Radziejowskich, Kazanowskich, Gniewoszów, Leszczyńskich itd w Warszawie oraz niejeden wspaniały budynek w Krakowie, Lwowie, Poznaniu czy Lublinie lub Wilnie.

Przed oczami księstwa Kentu wyłoni się z murów tego zamku urok polskiej hardości, niezliczone wielkie chwile naszych dziejów przemówią z starych portretów hetmańskich, a polskie karabele dadzą wyraz, że nie ku ozdobie noszone były przez antenatów gospodarzy łańcuckich, lecz ku obronie naszego dorobku kulturalnego, ku obronie granic przed nawałnicą wschodnią, turecką, tatarską, wkońcu moskiewską Choć odmienny stylem, Łańcut przypomni im słynne zamki angielskie, których dzieje również wspominają nietylko o szumnych bankietach, ale też o ciężkiej, rycerskiej walce.

Jan Maleszewski.

NATCHNIENIE

Światowej sławy pianista i kompozytor

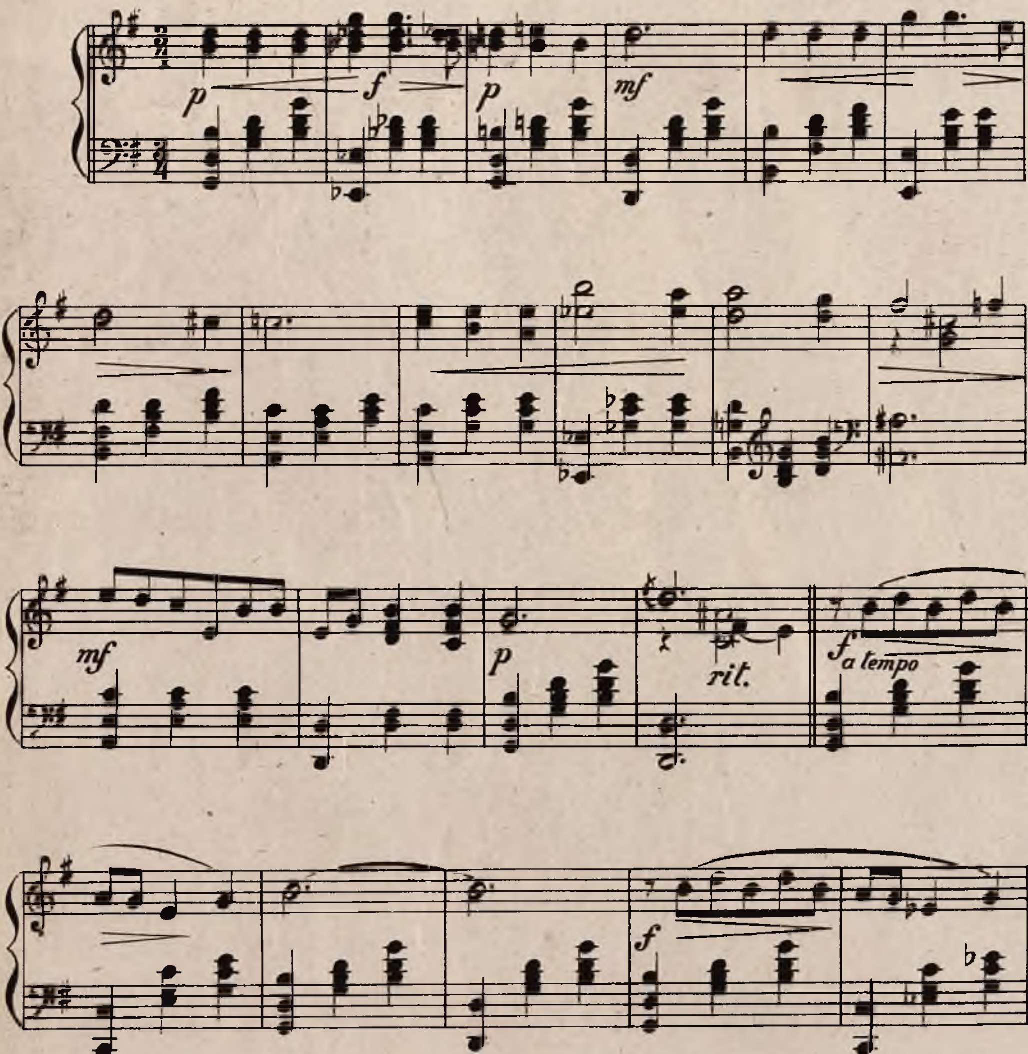


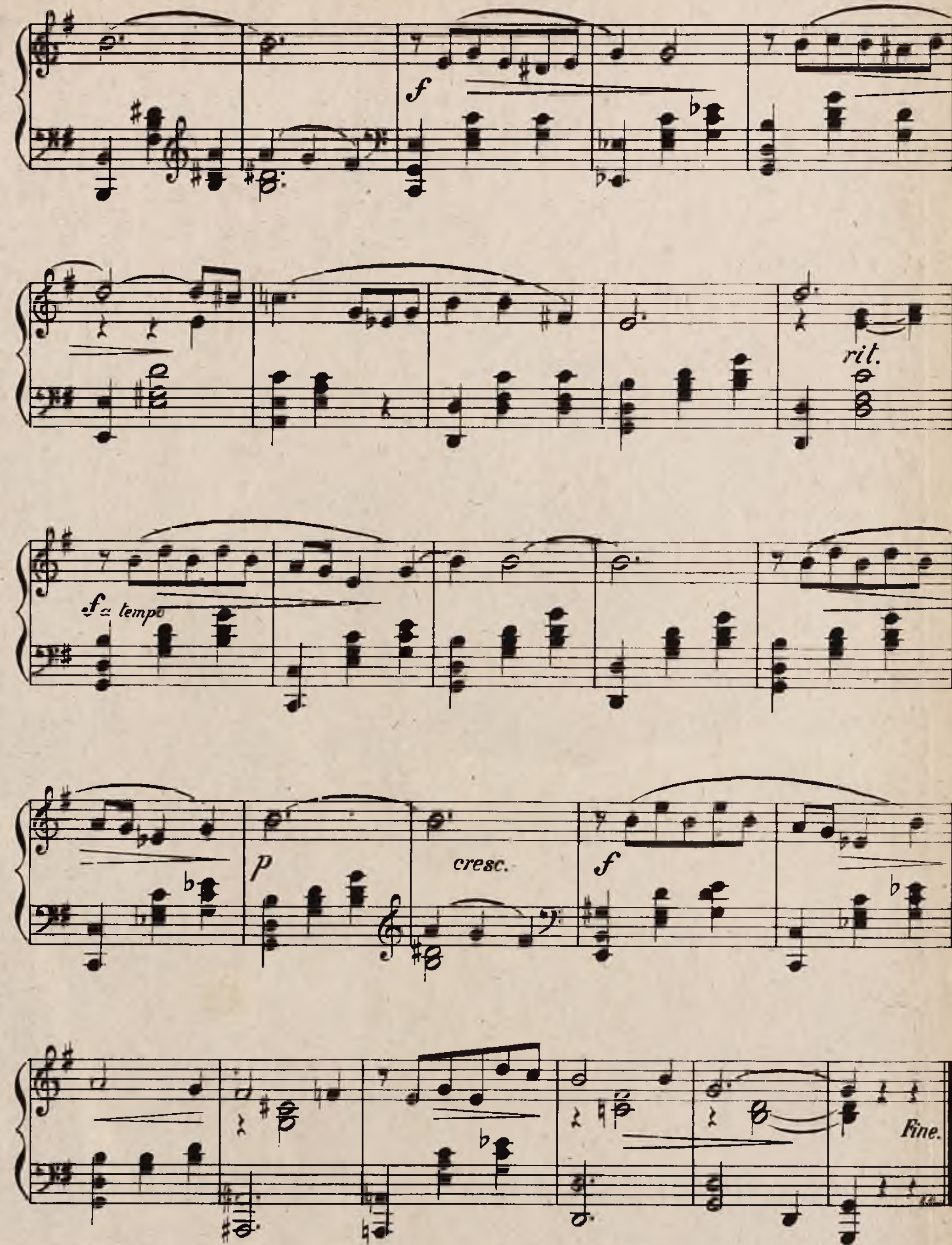
LATO

Walc

Ryszard Jachimowicz

Moderato.





LUDWIK MASCHOFF

Zarezerwowane miejsce

NOWELA

Kilka tygodni zwlekałem z podróżą, aczkolwiek byłem przekonany, że mnie ona nie ominie. Lubię zmianę miejsca pobytu, jestem żądny nowych wrażeń, ale przytem staram się zawsze, by to było połączone z największą wygodą. W dzisiejszych czasach można sobie na to pozwolić. Nie wiem dlaczego przyjemność oglądania morza lub gór ma być okupioną kilkudniowem zdenerwowaniem, nieprzespaną nocą, w następswie tego bólem głowy, złym humorem itd. Wreszcie siedzenie 10—20 godzin w wagonie, paszporty, wiza, granica, rewizje, bicie serca. Naprawdę, to nie opłaca się! Dlatego z moją podróżą zwlekałem tygodniami. Codziennie pisałem listy, sądząc, że w ten sposób sprawę załatwię. Lecz napróżno! Dostawałem coraz bardziej naglące wiadomości, że przyjazd mój jest nieodzowny. Cóż mi zatem zostało do wyboru, jak nie zdecydować się na tę podróż?

Przygotowania do podróży odchorowałem poprostu. Pomijam już przyjemności konsularno-wizowe i inne gonienia, proszenia, przyspieszania. W dodatku w jedną i drugą stronę musiałem jechać nocą, czyli że niewyspany przybędę do celu i niewyspany wrócę. Przygnębiało mnie to, odbierało ochotę do życia.

Ze swego zmartwienia zwierzyłem się przyjacielowi. Zaprzyjaźniłem się z nim właściwie po części dlatego, że ma śliczną żonę. Zosia jej na imię. Zosia jest nietylko śliczną kobietą, ale w równej mierze praktyczną.

— Jak można być tak niedołężnym — zawołała — przecież mieszkamy w stolicy. Jutro pójdziemy do biura podróżnego i kupimy bilet do wozu sypialnego.

Nazajutrz byliśmy w biurze.

— Proszę kartę do sleepingu.

— Wszystko wysprzedane na dwa tygodnie naprzód.

— Słyszysz Zosiu? Co teraz?

— Bilet z zarezerwowanem miejscem!

Na ten pomysł, zdaje mi się, nie wpadłbym nigdy w życiu.

— Proszę bilet do granicy z zarezerwowanem miejscem. Czy mogę być spokojny — upewniałem się u urzędnika, że miejsce będzie wolne?

— Najzupełniej. Gdyby je ktoś zajął, może pan zawołać konduktora, który wskaże owemu pasażerowi inne.

— A jak nie będzie innego?

— To nie pańska rzecz. Pan musi mieć miejsce.

— Dziękuję.

Byłem w siódmem niebie.

— Widzisz, co za świetna rzecz, taki bilet z zarezerwowanem miejscem. Będziesz mógł się przynajmniej zdrzemnąć. Na wszystko jest rada.

— Droga Zosiu, gdyby ciebie nie było na świecie — — —

Wcale nie szpieszyliśmy się na dworzec. Przyszliśmy dwie minuty przed odejściem pociągu. Numery wagonu i miejsca zgadzały się. Na oparciu wisiała tabliczka „Zarezerwowane miejsce". Rzuciłem walizkę na siatkę i wyszedłem na korytarz, by przez okno powiedzieć Zosi jeszcze raz dowidzenia i uścisnąć przytem jej białą rączkę.

— Będziesz się mógł przynajmniej zdrzemnąć. Pamiętaj, abyś się zdrzemnął. Przyrzekasz mi, że się zdrzemniesz? W termosie jest gorąca herbata, a w małej flaszeczce koniak.

— Czemu nie nalałaś odwrotnie?

— Jestem teraz o ciebie spokojna.

— Dziękuję Zosiu, ucałuj Wacka odemnie.

Przeciągły gwizd, sapnięcie lokomotywy— pociąg wolno potoczył się po szynach. Stuk — raz — dwa — coraz szybciej. Zosia szła jeszcze wzdłuż wagonu koło okna.

— Dobrze, że dostaliśmy to miejsce. Patrz jaki tłok! Pamiętaj, abyś się zdrzemnął.

Pociąg biegł już dość szybko. Zosia nie mogła nadążyć. Powiewała tylko chusteczką.

— W ter-mo-sie jest her-ba-taaa — a — —

Reszty nie dosłyszałem. Wpadliśmy w chmurę pary i dymu, jeszcze chwila i byliśmy na wolnej drodze. Podciągnąłem szybę do góry i skierowałem się do przedziału. Pełno! Wszystkie miejsca zajęte. Moje również. Jakaś dama, nie troszcząc się o tabliczkę, rozparła się wygodnie, założyła nóżkę na nóżkę i szperała w torebce.

— Niech tylko przyjdzie konduktor — myślałem — już dojdę mych praw. Bezczelność! Jakby ta tabliczka pisaną była po chińsku, albo była reklamą „Pijcie kakao Suchard". Przychodzi taki koczkodan, rozsiada się i udaje strusia! Nawet walizkę położyła na mojej. Na mojej nowej, wczoraj dopiero kupionej z krokodylowej skóry! A ja stoję na korytarzu, marznę, co chwila depcze mi ktoś po nogach i trzymam w ręce bilet z zarezerwowanem miejscem. Krew kipiała we mnie. Uderzała mi o skronie, myślałem, że — — — No, niech tylko przyjdzie konduktor!

Upłynęło już pół godziny. Minęliśmy jakąś stację, zadudniał most. — Ładna perspektywa! Może wysiądzie na najbliższej stacji? A jak nie wysiądzie? Lepiej przeczekać w wozie restauracyjnym. Myśli tej uczepiłem się, jak tonący brzytwy.

— Może mi pan powiedzieć, gdzie znajduje się wóz restauracyjny? — zwróciłem się do jednego pana, który również marznął w korytarzu.

— Wcale go niema. W nocnych pociągach są tylko sleepingi.

— Wysprzedane na dwa tygodnie naprzód. — Wiem. Dziękuję.

Stałem znowu na mojem miejscu i przez drzwi patrzyłem do przedziału. Jak długo jeszcze? — zadałem sobie pytanie.

— Co za bajeczna nóżka — spostrzegłem dopiero teraz, gdy zimny przewiew w korytarzu dostatecznie ostudził moją krew. Że tego pierwej nie zauważyłem... Noc była chłodna: postawiłem kołnierz marynarki, włożyłem ręce do kieszeni, przeszedłem kilka razy wzdłuż korytarza — daremno. Coraz bardziej przejmował mnie chłód, a konduktora ani śladu. Postanowiłem załatwić sprawę energicznie. Przynajmniej demonstracyjnie wziąć płaszcz, wiszący na mojem zarezerwowanem miejscu. Wszedłem do przedziału.

— Pani pozwoli...

— O, proszę bardzo — — —

Wcale jej to nie zaintrygowało. Bezczelność! Naspokojniej siedziała nadal, wciskając się w pluszowe oparcie.

— Właściwie, chciałbym się dostać do mojej walizki.

Spojrzała niechętnie do góry.

— Czy to konieczne?

— Tak, konieczne. Ponieważ pani raczyła zająć moje zarezerwowane miejsce, przeto chciałbym sobie czas stania na korytarzu skrócić paleniem papierosów. Są właśnie w walizce.

— Aaa? Więc zajęłam pańskie miejsce? Bardzo przepraszam, wcale nie było to moim zamiarem... Gdybym była wiedziała..

— No, ale teraz pani wie, — palnąłem jej dość dobitnie i niegrzecznie, w nadziei, że wstanie z miejsca i ja będę się mógł zdrzemnąć. Ale moja towarzyszka podróży zdawała się słów moich nie dosłyszeć.

— Wisiała przecież tabliczka — mówiłem w dalszym ciągu — ona nie jest poto, aby zajmować cudze miejsce!

— A? Tabliczka? Tak — wisiała. Strasznie mnie gniotła w plecy. Położyłam ją pod ławkę.

— Bajeczne załatwienie sprawy! Ciekawym, jak ja się dostanę do moich papierosów.

— Szkoda fatygi. Niech pan pali tymczasem moje.

Podała mi całe pudełko.

— Może pan skosztuje pomadki? Znako-

mite! Właściwie, wcale nie miałam zamiaru zająć panu miejsca. Mogłabym przejść do innego przedziału... Może pan byłby tak dobry pofatygować się...

— Wszystko przepełnione.

— Bardzo mi przykro, że pan musi na korytarzu...

— Muszę? Wcale nie muszę. Mam bilet z zarazerwowanem miejscem.

— Właściwie, wszystkiemu jest winien mój znajomy.

— Cóż on ma wspólnego z tem, że pani zajęła moje miejsce?

— Proszę posłuchać! Fałszywie poinformował mnie co do odjazdu pociągu. Omylił się o całą godzinę. Dopiero w ostatniej chwili telefonuje, zawiadamia mnie o całem zajściu, ja łapu capu za manatki, do auta, na dworzec, wpadam do tego przedziału, jestem szczęśliwa, że mimo całego nieporozumienia znajduję jeszcze wolne miejsce — — teraz dopiero — pan nie uwierzy, jak mi przykro, że to waśnie pańskie miejsce i że pan na korytarzu — — — Smakują pomadki? Znakomite. Na korytarzu musi być bardzo zimno. O, jakie pan ma przemarzłe ręce. Jadę do granicy, a potem dalej do Krakowa. Pan również? Świetnie się składa. Muszę panu jako rodakowi coś w zaufaniu powiedzieć. Mam dwie nowe bluzki jedwabne — szeptała mi do ucha — boję się, by mi ich nie zabrano. Mógłby je pan przechować u siebie? Mały pakiecik, — może do płaszcza, gdzieś w bocznej kieszeni?

— Owszem.

— I flaszeczkę perfum.

— Drobnostka.

— I — — — i — — — jeszcze pudełko cygar. Kilka sztuk, setka, bardzo, bardzo mi na tem zależy. Ach, gdyby mi te cygara zabrano — — —

— Już się to załatwi.

— Bardzo panu dziękuję. W Berlinie są takie dobre cygara, a mój mąż... Fatalnie, że niema w przedziale jeszcze jednego wolnego miejsca dla pana. Moglibyśmy pogawędzić. Strasznie mnie głowa boli. Zdenerwowałam się! Proszę sobie wyobrazić moje położenie. Powiadomić kogoś o czasie odjazdu pociągu o godzinę później. Kapelusz ciąży mi jak cebrzyk z wodą.

Zdjęła go. Potrząsnęła główką, krótko strzyżone włosy rozwichrzyły się na wszystkie strony i opadły w lekkich lokach.

— Mąż mnie nie pozna. Wyjechałam z czarnemi włosami a wracam na platynowo. U nas tak tego robić nie umieją. Podobno znowu wielka moda. Jak się panu podoba?

— Ślicznie. Pani wogóle — — —

— Wiem. Ale co mąż na to powie? Tak się boję. Prawdę mówiąc, nie mam odwagi jechać do domu. Pewnie mi nawymyśla. Trudno. Jeśli moda od nas wymaga, na wszystko trzeba się zgodzić. My, kobiety jesteśmy niewolnicami mody. Straszne! Dlatego kupiłam cygara dla mego męża. Żeby mi ich tylko nie zabrano na granicy. Jak sobie zapcha niemi buzię, nie powie ani słowa.

— Co za praktyczność!

— O, tak...

— Wiem to z własnego doświadczenia.

— Gdybym się mogła chwileczkę, małą chwileczkę zdrzemnąć. Ten ból głowy wyprowadza mnie z równowagi.

— Nie będę więcej przeszkadzał. Życzę dobrej nocy.

— Pan jest dżentelmenem w pełnem znaczniu tego słowa.

Wyszedłem na korytarz. Moja nieznajoma oparła główkę, śliczną blond główkę o poduszkę, zamknęła oczka i zdawała się zasypiać.

— Piękna kobietka. Co za nóżka. — — —

Lekko rozchyliła usteczka. — — —

— Proszę o bilet — odezwał się konduktor. Przedziurawił go. — Za jedenaście godzin jesteśmy na granicy.

— Dziękuję — mruknąłem — ładne widoki.

Moja towarzyszka spała jak suseł aż do samej granicy. Pół godziny przedtem zbudziłem ją.

— Już granica? Chciałam tylko chwileczkę. Czemu pan mnie wcześniej nie zbudził? To nieładnie. Robię sobie z tego powodu gorzkie wyrzuty. Pan całą noc spędził na korytarzu? Jak można! Pan się przeze mnie rozchoruje. Ach! Moje pakunki. Weźmie je pan teraz do siebie?

Obładowany byłem jak wielbłąd. W jednej kieszeni gniotły mnie bluzki, w drugiej cygara, flaszeczkę z perfumami ulokowałem w rękawiczce...

Kilka godzin później byliśmy na miejscu. Bagażowego ani na lekarstwo.

— Pan będzie łaskaw trochę mi pomóc. Walizka, kufereczek, pudło na kapelusze. — Do tego moja waliza z krokodylowej skóry. „Turgałem" wszystko do dorożki. Przy wsiadaniu uścisnęła mi rękę.

— Jest pan nieocenionym człowiekiem. Może się jeszcze kiedy spotkamy, postaram się odwdzięczyć. Żegnam.

— Oby cię niebiosa miały w swej opiece, — pomyślałem — rezygnuję z wdzięczności.

— Wjooo! — Świsnął bat w powietrzu — odjechali.

Wsiadłem do drugiej dryndy. Wymieniłem hotel. — — — Teraz spać — spać!

Na drugi dzień zaszedłem do mojego dawnego przyjaciela szkolnego. Miałem z nim pewną sprawę do załatwienia.

— Serwus — jak się masz — kopę lat, chłopie — tego, tamtego, tentego — co słychać u was w szerokim świecie? U nas to tak po staremu — pcha się biedę — no, ale chwalić Pana Boga — jakoś, tego, dajemy sobie radę. — Siadaj kochany! — Opowiadaj! — Świetnie wyglądasz — może zapalisz sobie cygarko? Żona mi je wczoraj przywiozła. Podobno straszny ruch na kolei, ale miała dobrą podróż.

Trzymał mi pod nosem pudełko z cygarami. Natychmiast je poznałem.

— Co za marka, he? Jak z czekolady! Morowa kobieta z niej. Tak węszą na granicy, szperają, szukają, przewracają kufry do góry nogami, a przecież ich przy niej nie znaleźli. No — zapal sobie!

— Słuchaj, Staszek — zacząłem mruczeć pod nosem, obcinając koniec cygara, — gdyby twoja małżonka miała jeszcze kiedy zamiar jechać przez granicę, możeby mnie przedtem o tem powiadomiła?

— Aaa — wydarło mu się z ust z pełnem zadowoleniem. — Chciałbyś także przewieźć trochę cygar? Zwróć się z tem do niej osobiście, ona ci powie, jak się to rob. Zaraz ją tu sprowadzę.

Wybiegł z pokoju.

Siedząc w fotelu i puszczając błękitny dymek w powietrze, postanowiłem sobie na przyszłość kupować tylko bilety z zarezerwowanem miejscem. Bardzo wygodne! Można się zdrzemnąć, albo też i nie!

Dokończenie ze str. 12-ej.

Jedną z największych zasług Marconiego jest zwrócenie uwagi na fale ultrakrótkie, które mają się nadawać do przekazywania wiadomości w ściśle określonym kierunku. Marconi pierwszy odkrył w r. 1924, że fale o długości około 30 m mogą być nadawane i odbierane na najdalsze odległości zarówno za dnia, jak i w nocy nawet do antypodów z minimalnym wydatkiem energji. Wykazał on także, że krótkie fale można o wiele łatwiej regulować i kierować, aniżeli fale długie i że posiadają one poniekąd własności zbliżone do promieni świetlnych, które zapomocą reflektorów skierowujemy zupełnie dowolnie.

W r. 1919 Marconi był pełnomocnym delegatem rządu włoskiego na konferencji pokojowej w Paryżu i podpisał w imieniu Włoch traktat pokojowy z Austrją i Bułgarją. Miał więc widocznie także zdolności dyplomatyczne. Odznaczeń nigdy mu nie brakło: w roku 1909 otrzymał razem z prof. Braunem nagrodę Nobla, był senatorem, a król włoski nadał mu tytuł markiza. Był również członkiem rady faszystowskiej, prezesem włoskiej akademji królewskiej i członkiem akademji papieskiej.

Wielki uczony włoski cieszył się, rzecz prosta, wielkim szacunkiem swych ziomków, a papież Pius XI prowadził z nim nieraz długie rozmowy, podziwiając genjusz Marconiego. Gdy po podpisaniu paktu Laterańskiego przystąpiono do urządzania Miasta Watykańskiego i zastanawiano się nad nadaniem nazw różnym ulicom tego państewka, papież postanowił nazwać drogę, prowadzącą od Kolegjum Etiopskiego do stacji radjowej, nazwiskiem „ojca" radja. Marconiemu też przypadł zaszczyt zorganizowania watykańskiej stacji radjowej w r. 1931, której otwarcia dokonał sam papież. Jakkolwiek stojący zdala od polityki wewnętrznej, to jednak Marconi powitał nowy porządek faszystowski Włoch z entuzjazmem. Swemi wiekopomnemi odkryciami oddał wielki uczony swej ojczyźnie najlepsze usługi, stając w historji ciągłego postępu ludzkości godnie obok Galvaniego i wielkiego Volty.

Był to typ człowieka, jaki został wyniesiony na piedestał przez Amerykanów: człowiek łączący wielkie zdolności z umiejętnością wykorzystania ich. Umarł stosunkowo młodo, bo jeszcze w pełni sił umysłowych i nie ustając w pracy nad dalszem ulepszeniem radja, które w międzyczasie stało się potęgą światową. Jego życie jest znakomitym argumentem dla optymistów, którzy twierdzą, że prawdziwie zdolny człowiek, świadomy swych dążeń i pełen energji zdoła „przepchać" się przez życie mimo największych przeciwieństw.

Inż. J. A.

Dokończenie ze str. 14-ej.

rów za film) wykluczyły możność wyświetlenia ich w Krakowie.

W pierwszym roku powstania krakowskiej placówki wyświetlono wiele obrazów od okresu przedwojennego po czasy dzisiejsze. Prócz tego udało się Stowarzyszeniu wyświetlić liczne awangardowe dodatki doświadczalne pochodzenia amerykańskiego. W pierwszym też roku J. M. Brzeski zrealizował film p. t. „Beton", który ukończony został prawie równocześnie z krótkometrażówkami J. Kurka i in.

Rok 1931 obfitował już w liczne próby i dokonania filmowe awangardy polskiej We Lwowie i Warszawie powstały związki mające na celu pracę nad filmem artystycznym lub jego popularyzowaniem.

Fatalne warunki finansowe utrudniały lub zgoła uniemożliwiły prace wielu jednostkom, czy grupom. Pomimo to jednak na ekranach polskich coraz częściej ukazywać się zaczęły wartościowe dodatki filmowe.

Pionierami na drodze rozwoju filmu artystycznego w Polsce byli Franciszka i Stefan Themersonowie.

Cękalski, W. Radulski, S. Wohl, A. Ford, to nazwiska ludzi, którzy przyczynili się do ukonstytuowania się w Polsce awangardy, pracującej z coraz lepszymi wynikami.

[1]) Niektóre szczegóły i fakty wzięto z artykułu Z. Tonieckiego (F. A. nr. 2).

3 R • A • D • Y DLA ZAKOCHANYCH

Jak należy postępować podczas rendez-vous z ukochanym mężczyzną, aby go sobie nie zrazić — wyjaśniają nam trzy gwiazdy Hollywoodu, posługując się... własnem doświadczeniem!

Oto co mówi L o r e t t a   Y o u n g:

— Każdej z nas zdarzyło się, że spotkawszy się z mężczyzną, z którym uprawiałyśmy mniej lub więcej czuły flirt, nie zdołałyśmy zaskarbić jego serca. Powód postaram się wam wytłumaczyć na podstawie własnych przeżyć. Otóż miałam lat 15, gdy poznałam Freda, młodego człowieka, który ogromnie mi imponował. Pewnego razu zaprosił mnie na bal studencki. Spędziłam niezapomniane godziny i byłam ogromnie ze siebie dumna, że tak dobrze odgrywałam rolę dorosłej. Zdawało mi się, że zdobyłam zdecydowanie jego przyjaźń, nie mówiąc już o głębszych uczuciach. Ale jakież było moje zdziwienie i przykrość, gdy czekałam bezowocnie na telefon Freda, a telefon milczał, jak zaklęty. Nieraz zresztą spotykałam go u znajomych, ale już nigdy nie wyraził chęci wybrania się ze mną na jakieś samotne tête à tête. Dopiero po dwóch latach, gdy rana, która powstała na... mojej ambicji, zabliźniła się definitywnie, zwróciłam się do Freda ze szczerem zapytaniem o powody jego zachowania.







— Dlaczego? Oto poprostu dlatego, że kochana Loretto, kazałaś mi czekać dwie godziny w swoim saloniku, zanim byłaś łaskawa się ukazać.

Odpowiedź ta „zastrzeliła" mnie! Oto chcąc wydać mu się jaknajbardziej ponętną, poświęciłam rzeczywiście około dwóch godzin na odpowiednie przygotowanie się do mojego występu ,który... miał się zupełnie nie udać. Było to dla mnie rewelacją, ale też dobrą nauczką, którą polecam wszystkim kobietom, zainteresowanym w podobnych wypadkach. Proszę mi wierzyć, że czas zużyty dla zdobycie fizycznego uroku jest zasadniczo stracony, gdyż mężczyzna zniechęcony czekaniem będzie uprzejmy lub nadskakujący tylko... z dobrego wychowania lub z przyzwyczajenia!

M i r i a m   H o p k i n s oświadcza:

W mojem postępowaniu z mężczyznami kieruję się pewnym strategicznym fortelem, który odkryłam w ciągu mojego życia. Nigdy nie zapomnę okoliczności, w jakich dowiedziałam się o zasadniczej mądrości postępowania z mężczyznami. Przybyłam wtedy właśnie do N. Jorku, gdzie miałam rozpocząć karjerę artystyczną. Wielkim ewenementem było wtedy kupno pięknej wieczorowej sukni, którą zamierzałam przy najbliższej sposobności olśnić elegancki świat nowojorski. Gdy więc po raz pierwszy wybrałam się wieczorem z moim towarzyszem na dancing, upierałam się koniecznie przytem, abyśmy się wybrali do jednego z najelegantszych lokali — Central Pork, gdyż tam wła-

PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Czy nigdy Was to nie zastanowiło, piękne panie i mili panowie, korzystający z naszych wskazówek gimnastycznych, że artyści cyrkowi uśmiechają się stale podczas wykonywania ćwiczeń, chociażby były najtrudniejsze? A również tancerki akrobatyczne w balecie, bo i one muszą wykonywać często ćwiczenia bardzo natężające muskulaturę — zawsze się uśmiechają! Możemy Was zapewnić, że uśmiech ten przylega do ich twarzy także podczas prób. I dlatego ćwiczenia te wydają się łatwe, trudności pokonywane są bez specjalnie nużącego wysiłku — ot, poprostu zabawka!

Bierzmy sobie przykład z „mistrzów muskulatury" i starajmy się lekceważyć nasze wysiłki fizyczne podczas ćwiczeń gimnastycznych. Przyczyni się to w znacznej mierze do powodzenia i korzyści z wykonywanych ruchów.

Ćwiczenie XIII.

Przypatrzmy się naszej rycinie. Gimnastyczka uśmiecha się, zdając sobie z tego sprawę, że pogodny uśmiech pozwala na przezwyciężenie największych trudności. Te trudności istnieją, lecz ich pokonanie ma stanowić o zdrowiu i prawidłowej postawie. Poniżej opisane ćwiczenie ma na celu wciąganie muskulatury pleców i ramion do pracy całego organizmu.

Siadamy na podłodze, opierając się rękami na podłodze, kurczymy następnie nogi w kolanach, układając je tuż koło całego korpusu w pozycji wyprężonej. Szyja musi jednak wystawać swobodnie z pomiędzy ramion. Następnie unosimy tułów z podłogi, napinając muskuły ramion i pleców i przesuwamy partję siedzenia ku przodowi. Musimy przytem uważać, by kolana i czubki palców u nóg były wyprężone. Nogi powinny tylko lekko dotykać podłogi, ponieważ cały ciężar ciała ma spoczywać na muskułach ramion i pleców. Ćwiczenie to pomaga korzystnie do wyrobienia wątłych i niedorozwiniętych ramion. Następnie przesuwamy siedzenie wstecz i usiłujemy kilkakrotnie powtórzyć to ćwiczenie, wracając za każdym razem do pierwszej pozycji. A choć nas to trudzi — uśmiechajmy się, lekceważąc wysiłek!



Na lewo: Pierwsze ćwiczenie: Siadamy na ziemi, opierając się rękami na podłodze...

Na prawo: Drugie ćwiczenie: Kurczymy nogi w kolanach, unosząc tułów w górę...



śnie, przypuszczałam, znajdę właściwe ramy dla mojej tualety. Okazało się wkrótce, że wyprawa nasza do dancingu miała być pierwszą i ostatnią, gdyż młodego człowieka więcej już nie zobaczyłam, chociaż bardzo mi się podobał. W ten sposób wspaniała suknia, z której byłam dumna przyniosła mi tylko wiele samotnych wieczorów! Nauczona tem doświadczeniem nie waham się oświadczyć wszystkim młodym kobietom, że nie należy nigdy narzucać mężczyźnie, z którym się idzie na zabawę, lokalu. Oczywiście, że każdy, znający nieco kobiety towarzysz, zwróci się do swej damy z zapytaniem o jej upodobania, ale wtedy powinnyśmy udawać najzupełniejsze désinterétessement i nie dać poznać, że marzymy np. o takiem lub innem miejscu rozrywkowem. Przeciwnie! Przyjmujmy propozycje naszego towarzysza z pełnym entuzjazmem, chociażbyśmy myślały o czemś zupełnie innem.

— Umiejcie słuchać — radzi Carola Lombard:

— Ilekroć mi się zdarza przebywać przez kilka godzin w towarzystwie mężczyzny, na którym mi zależy, staram się być jego pilną słuchaczką i mówić samej jak najmniej. Oczywiście, że zasada ta jest zbyt prosta, aby stanowić już o sukcesie wobec drugiej osoby, w każdym razie mogę zapewnić, że jest zawsze skuteczną. Przyznać trzeba, że zastosowanie tej reguły nie jest takie łatwe, jakby się zdawało, gdyż każda kobieta, a zwłaszcza ta, która uważa się za wybitną „causeuse", — chętnie chciałaby podczas pierwszego randez-vous opowiedzieć swemu znajomemu to wszystko, co może w jego oczach podnieść jej wartość i uczynić ją interesującą. Otóż, nigdy tego nie można dosyć podkreślić, nie starajcie się olśnić waszych towarzyszy. Nie opowiadajcie o wysokich koneksjach waszej rodziny, o swych talentach i o poprzednich podbojach. Natomiast wykazujcie wiele zainteresowania dla tego wszystkiego, co towarzysz wasz będzie opowiadał. Im więcej przypominam sobie różne epizody z mojego życia, tembardziej stwierdzam słuszność tej maksymy. Umiejcie słuchać! Tyle przecież będzie jeszcze okazyj do wypowiedzenia swoich poglądów i zainteresowania danego mężczyzny różnemi epizodami ze swojego życia, ale w pierwszym rzędzie interesujcie się tem, co zaciekawia waszego znajomego. Nawet wtedy, gdyby z ferworem opowiadał o polityce, o sporcie... I jeszcze jedno: na Boga, nie ziewajcie podczas jego opowiadań!

Dokończenie ze str. 5-ej.

Dla okrasy pobytu i znieczulenia nostalgji stoją otworem gościnne podwoje licznych winiarń.

* * *

Życie miejskie koncentruje się około tumu; stąd też rozpoczynamy wędrówkę po „Hohe Strasse" i kończymy wieczorem u „Brungs'a".

Urok „Hohe Strasse" tkwi w nieprzebranej masie magazynów i sklepów z luksusowym towarem: biżuterją, kosmetyką i konfekcją. Szczególnie przy wieczornem oświetleniu, przy błyskach neonów i odgłosach muzyki z wytwornych lokalów nabiera ta część miasta prawdziwego smaku i barwy. Bogactwa kolosalnych okien wystawowych, ilość materjałów ,piramidy butelek z wodą kolońską, efekty dekoracyjne wystaw — wszystko to „chwyta" oko. Ulica jest wąska — odbywa się tu tylko ruch pieszych. Pod wieczór różnobrawny tłum wzrasta, — z wielkich hotelów podąża obcy świat ku lokalom rozrywkowym.

„Weinkellerei Brungs" stanowi ośrodek towarzyskiego życia mieszczańskich sfer. — Niskie sale o belkowanych pułapach, obwieszone starymi mistrzami, barokowymi świecznikami i modelami okrętów wprowadzają przybysza odrazu w ten intymny i wesoły nastrój, jaki dobrze służy posiedzeniom przy kieliszku. Słynne wina reńskie i mozelskie „Rüdesheimer", „Oppenheimer" lub „Niersteiner" i doskonały, musujący „Seckt" wpływają ożywczo i szybko na humor. — Pieśń, rozpoczętą przez orkiestrę, podchwytuje odrazu publiczność. Wszyscy śpiewają, kołysząc się do taktu. Coprawda mieszczanki nie grzeszą subtelnością sylwetki czy linji, ale ich bezpośredniość i wesołość przypomina postacie z „króla migdałowego" Jordaens'a. Atmosfera ta tak wpływa na obcokrajowca, że szybko zapomina, skąd przybył. Czyni to słodycz napojów i naturalność otoczenia. Wszyscy są „bliscy, gdyż wino i sentyment piosenki reńskiej chwyta za serce".

Ludwik Tyrowicz.

Życie towarzyskie i artystyczne

DWA ŚLUBY W ARYSTOKRACJI



Ks. arcybiskup hr Ropp pobłogosławił ostatnio, w pięknie girlandami i kwieciem ustrojonym, historycznym kościele w Krobji związek małżeński między Ewą hr. Grocholską z Rogowa (Wielkopolska) a Kazimierzem hr. Zyberk-Platerem z Wojcieszkowa w Lubelskiem. Na ślubie zjawili się liczni reprezentanci wielu rodzin arystokracji polskiej, których po obrzędzie ślubnym podejmowała gościnnie matka panny młodej. Zofja z hr. Zamoyskich hr. Grocholska, wdowa po poległym w wojnie bolszewickiej Tadeuszu. Na naszem zdjęciu widzimy fragment ceremonji ślubnej, na pierwszym planie państwo młodzi.

Wysocko, — majątek hr. Szembeków, zaroił się ostatnio od licznych gości, którzy zjawili się z okazji ślubu hr. Zofji Szembekówny, córki hr. Bogdana, właściciela Wysocka i śp. Zofji z Ponińskich, z ks. Lwem Sapiehą, synem ks. Teresy z Lubomirskich i Eustachego Sapiehów. — Liczni krewni obu łączących się rodzin, jak ks. Lubomirscy, Radziwiłłowie. Sapiehowie, hr. Zamoyscy, Dieduszyccy, Ponińscy, Żółtowscy itd., wzięli udział w uroczystościach ślubnych. — Młoda para otrzymała błogosławieństwo od Ojca Świętego, oraz Prymasa kard. Hlonda, a poza tem liczne życzenia z całej Polski, m. i. od p. Marszałka Śmigłego-Rydza. — Na zdjęciu młoda para po wyjściu z kościoła.



„ŚWIT, DZIEŃ i NOC" Z MALICKĄ



Warszawski Teatr Malickiej wystawia znaną sztukę Niccodemiego p. t. „Świt, dzień i noc", w której główne role odtwarzają Marja Malicka i Wojciech Wojtecki. Nowe psychologiczne ujęcia ról bohaterów dodaje sztuce, świetnie granej, nowych walorów.

Fot. Forbert, Warszawa.

SUKCESY KALISKIEJ ARTYSTKI



Czołowa artystka teatru kaliskiego p. Halina Gallowa, zdobyła sobie rzetelnym talentem jak również sumienną pracą szczere uznanie i sympatje publiczności kaliskiej. Jej to w wielkiej mierze zawdzięcza teatr kaliski liczne udane spektakle, które postawiły go w rzędzie wybitniejszych teatrów prowincjonalnych Polski. P. Gallowa również na przyszły sezon pozostaje w teatrze kaliskim.

WŁODZIMIERZ ŁOZIŃSKI W KRYNICY



Zdolny artysta filmowy Włodzimierz Łoziński, który kreował ciekawe role w dwóch polskich filmach, tj. j. „Znachor" i „Dziewczęta z Nowolipek", odpoczywa obecnie po trudach zawodowych, wraz ze swym młodszym bratem, w Krynicy, poświęcając dużo czasu wycieczkom górskim.

LETNIA MODA MIEJSKA



Z suknią z jedwabiu imprimé harmonizuje czarny alpakowy płaszcz.

Gdy w pełnym sezonie letnim weźmiemy do rąk i jakiekolwiek pismo poświęcone modzie, znajdziemy w niem pełno strojów plażowych, tenisowych, yachtingowych — kostjumy przeznaczone do podróży koleją, autem czy samolotem — wreszcie powiewne kreacje wieczorowe.

A cóż znajdą dla siebie te wszystkie panie, które z jakichkolwiek powodów tegoroczne lato zmuszone są spędzić w mieście? Przecież nie wszyscy i nie wszystkie mogą wyjechać nad morze, czy do kąpiel. Cóż im więc po shortach, plażowych sukniach, piżamach, dressach sportowych! W mieście trzeba się ubrać inaczej: lekko, wygodnie, a jednak zachowując ten charakter „correct", który przysługuje strojom przeznaczonym dla miasta.

Nic bardziej rażącego, jak widok roznegliżowanych kobiet, spacerujących bez kapelusza, bez pończoch, w dekoltowanych sukienkach po ulicy miasta! Wiele kobiet popełnia ten błąd, że nie rozróżniają tualet miejskich od strojów stosowanych na plaże, czy leniska.

A więc: 1. Kostjumy i komplety są zawsze elegantsze od samych sukienek. Mogą być wykonane z bardzo lekkich materjałów, jak len, surowy jedwab czy pika na kostjumy, jedwabna krepa, żorżeta, matowa koronka lub nawet gaza na popołudniowe komplety. Jeśli w czasie specjalnie wielkich upałów chce się nosić same suknie, trzeba pamiętać przynajmniej o tem, aby przez ciemniejsze dodatki w postaci pantofelków, kapelusza czy rękawiczek nadać im bardziej miejski charakter. Bardzo elegancko wygląda np. lekka popołudnowa suknia „imprimée" na tle czarnem, noszona z dużym czarnym słomkowym kapeluszem, z czarnemi rękawiczkami i takiemiż pantofelkami z zamszu lub cienkiej skórki gemzowej. Ta sama tualeta, uzupełniona białą panamą i białemi pantofelkami, będzie już bardziej odpowiednia do modnego uzdrowiska lub na popołudniowy dancing nad morzem.

2. Chodzenie bez kapelusza w mieście przeczy jaskrawo wszelkiej elegancji. Modne w tym roku słomki egzotyczne, panamy i manille, są tak lekkie i przewiewnie plecone, że nie zaciężą napewno nawet przy wielkim upale, a chronią włosy od kurzu i osłaniają oczy od słońca.

3. Elegancka pani nie chodzi w mieście nigdy bez pończoch, tembardziej, że pajęczo cienkie pończochy z naturalnego jedwabiu nie grzeją zupełnie, a wyglądają na nodze tak ładnie. Wie także, że wszelkie sandały przeznaczone są wyłącznie na plaże i letniska i że chodzenie w nich po zakurzonej miejskiej ulicy jest nieestetyczne i nieeleganckie.

Cóż więc nosić można w mieście? — zapyta niejedna Czytelniczka. Przedpołudniem jasny kostjum z lnu czy shantungu, o prostym angielskim kroju z ciemniejszą gładką lub wzorzystą bluzką. Ładnie też wygląda komplet, złożony z ciemniejszej spódniczki i jasnego żakieciku, lamowanego kolorem spódnicy i wykończonego związanym na szyi barwnym szalikiem. Można też nosić do jasnej płóciennej sukni króciutkie bolerko, które ma tę zaletę, że nie grzeje, a jednak imituje żakiet.



Popołudniu najwięcej w tym roku są noszone suknie imprimé z odpowiednim ciemnym płaszczykiem: na dnie bardzo upalne z matowej koronki, czy przejrzystej żorżety. na nieco chłodniejsze z alpaki lub białej piki. Przyjęły się też w tym sezonie niezwykle praktyczne płaszcze z naturalnego surowego jedwabiu „bourette", które można nosić niemal do każdej sukni, gdyż neutralna ich

Dokończenie na str. 31-ej

Na prawo: Granatowa spódniczka i żakiet w kolorze poziomkowo-różowym, lamowany granatowym — to wymarzony strój na poranny spacer w mieście.





Od lewej: Wytworny wizytowy kostjum składa się z sukni z czarnej krepy i pelerynki haftowanej pajetkami. — Ażurowy jersey jest najmodniejszym materjałem na popołudniowe komplety.

KROPKI... NAD I!



Dając Wam, Czytelnicy, różne wskazówki odnośnie mody, omawiając krój marynarki sportowej, jej materjał, czy też mówiąc o najbardziej modnych fasonach płaszczy, dawaliśmy Wam i dawać będziemy suche dane, konkretne szczegóły, które są potrzebne, by się zorjentować w sztuce wytwornego ubierania się. Przypomina to niejako geometryczne zadanie, w którem podaje się uczniowi kilka danych, mających posłużyć do stworzenia figury geometrycznej. Od zdolności jednak ucznia zależy czy zdoła wykreślić żądaną figurę. Tak jest też i tu: z podawanych przez nas „elementów" powinien powstać i może powstać wytworny, praktyczny i estetyczny ubiór mężczyzny. Ale tak jak nie wystarcza cegła, drzewo i wapno, aby powstał dom, tak też i te szczegóły, konieczne zresztą, nie dają jeszcze rękojmi, że mimo wszystko obserwujący je mężczyzna będzie naprawdę dobrze ubrany.

Przypomina mi się pewna pomysłowa ilustracja, zamieszczona kiedyś w jednym magazynie zagranicznym a przedstawiająca kobietę, składającą się z części ciała, które u różnych kobiet przeszłości i czasów współczesnych zostały uznane przez „fachowców" za idealne i niedoścignione. Cóż się okazało? Dając temu „zlepkowi" idealnych fragmentów nogi Mistinguette, a biust Wenus Milońskiej, głowę z portretu Fragonarda a ręce z obrazu Van Dycke'a, stworzono monstrum, w którem jedna część ciała stawała w rażącem przeciwieństwie do drugiej Podobnie wyglądałby mężczyzna, którybу zastosował wszystkie przepisy o elegancji, nie dodając do nich jakiegoś osobistego, ściśle indywidualnego łącznika. Widzimy czasem takich mężczyzn, robiących wrażenie przesadzone, a nawet przykre. W początkach filmu wyciągał z tych momentów słynny francuski komik, Max Linder, nieprzebrane skarby humoru, ukazując się na ekranie jako taki pan, który wszystkie recepty żurnalów mód wziął na serjo i wprowadził w życie.

Urok osobisty! Oto tajemnica, czyniąca z człowieka ciekawy, harmonijny pod każdym względem typ. Urok ten przejawia się i w pisaniu i w rozmowie, w malowaniu i w wyglądzie zewnętrznym, w ubieraniu się, we wszystkiem! Rozejrzmy się wkoło i przypomnijmy sobie w tym względzie „klasyczne" przykłady. Anglicy uchodzą obecnie za najlepiej ubierających się mężczyzn, a mimo to, gdy obejrzymy liczne fotografje z życia towarzyskiego Londynu, z wyścigów w Ascott, z garden-party w Buckingham Palace—człowiek „niewtajemniczony" mógłby się zapytać:

— Przecież oni wcale tak dobrze się nie ubierają! O, temu lordowi fałduje się żakiet, ten pan znów nosi „nieprzepisowe" paski na koszuli!

Urokiem ubioru Anglika jest właśnie jego swoboda, jego „zrośnięcie" się z tym, który go nosi. Arbiter elegantiarum obu półkul, Edward VIII, obecny książę Windsoru, dał nieraz dowód, że elegancja polega właśnie na tym osobistym tonie ubrania, na tem sharmonizowaniu swych cech osobistych z tem, co się wkłada na siebie, a przedewszystkiem na tem, że człowiek nadaje ton ubraniu a nie odwrotnie! Nie można tej zasady zbyt często powtórzyć: straszną jest rzeczą, gdy pan X, włożywszy na siebie frak czy żakiet albo sportowy dress, staje się innym człowiekiem, staje się „godny" lub też okropnie „sporting-like"! Zaraz widać, że nosi dany strój po raz pierwszy lub bardzo rzadko i że czuje się w nim, jak to mówią, „jak mysz pod miotłą"! Inny wielki „as" elegancji, zmarły przed kilkoma laty markiz Boni de Castellane, jakkolwiek ogromnie w stroju był „correct", to jednak zawsze widać było w nim pewną swobodę, powiedziałbym nawet nonszalancję. Oczywiście, nie winna się ona posuwać do noszenia do czarnego ubrania... żółtych butów!

O ile omyłką jest przypuszczać, że wystarczy wypełnić przepisy mody, aby być elegancko ubranym, o tyle znów pewne kategorja ludzi zwana przed wojną „snobami", dziś dosyć rzadka, upatruje swój punkt honoru w przesadzaniu lub niedociąganiu pewnych wskazówek mody, aby stać się tem oryginalniejszą.

Pójdźmy jeden krok naprzód w stosowaniu naszych poglądów na modę, tj. dodajmy do stroju zgodnego z wymaganiami mody cechy osobiste, ów „łącznik" indywidualny, a stworzymy typ zewnętrzny, który odpowiadać będzie naszemu typowi duchowemu. Trudno powiedzieć, co w zewnętrznej naszej aparycji grać będzie główną rolę, powiedzieć natomiast możemy, że nasze twierdzenie nie jest ani przesadą ani fantazją. A przytem kierujmy się jednem wskazaniem: nie tylko król angielski czy jakaś wybitna osobistość może posiadać swoje indywidualne cechy w ubraniu i tworzyć ciekawą sylwetkę—jest ona dostępna dla każdego z nas, trzeba umieć tylko zrozumieć „ducha" mody.

Oto niejako wyższa matematyka mody, podczas gdy szczegóły o krawatach, kroju marynarki, kołnierzykach itd. itd. są tylko jej liczbami. Trzeba umieć niemi operować, by móc rozwiązać zadanie: „jak mężczyzna powinien się ubierać, aby tworzył nie żurnalową, ale indywidualną sylwetkę?" Po tych ogólnych wskazówkach — jeszcze wrócimy do tego tematu. **JGM.**



Jak widzimy najelegantszy człowiek świata nie zwraca uwagi na to, aby robić wrażenie... wyprasowanej lalki!





Na lewo: „Idealna" sylwetka żurnalowa nie zawsze robi dobre wrażenie.

Na prawo: Nawet strój bardziej uroczysty nie powinien zmuszać do unikania żywszych ruchów.

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

KNEDELKI Z PARZONEGO CIASTA. 1/4 litra mleka zagotowuje się i zasypuje, mieszając pilnie 25 dkg mąki. Ciasto w ten sposób utworzone ubija się na ogniu tak długo, aż od ścian rondelka odstaje. Po wystudzeniu daje się łyżkę masła i 2 jaja i ubija aż powstanie gładkie ciasto, które się wykłada na deskę posypaną mąką, rozpłaszcza, kraje w kawałki i zawija w nie owoce. Np. pół moreli z kawałeczkiem cukru, całą śliwkę lub 4 wiśnie itp. Knedelki gotuje się w słonej wodzie przez 4 minuty i podaje polane masłem i osypane suto smażoną bułeczką, zmieszaną z cukrem.

SOUPE A LA CRÈME. Pół litra kwaśnej śmietany rozkłóca się z 2 żółtkami łyżką mąki, łyżeczką soli i kminku lub siekanego kopru albo też szczyptą pieprzu, co kto lubi. Mieszaninę tę zalewa pół litrem wrzącej wody, zagotowuje razem przy pilnem mieszaniu, przelewa przez sito do wazy i zastudza. Osobno podaje się do zupy, smażony grzybek w drobną kostkę pokrajany, lub groszek ptysiowy.

ZIELONY GROSZEK NA SPOSÓB ANGIELSKI. Groszek ugotowany w słonej wodzie, bez cukru, odcedza się dobrze z wody, soli trochę i wysypuje kopiato na salaterkę. Łyżkę masła uciera się z łyżeczką siekanej pietruszki lub kopru, kładzie kawałkami na groszku i szybko podaje z krokietkami albo grzankami z bułki lub jako dodatek do baranich kotletów. W ten sam sposób przyrządza się zieloną fasolkę, pokrajaną w drobne kawałki.

ZIELONA LUB SZPARAGOWA FASOLKA W SOSIE. Obciągniętą z włókien fasolkę przełamuje się na połówki i gotuje w słonej wodzie. Ugotowaną odcedza się i wkłada do zimnej wody. Z łyżki masła i mąki sporządza się zasmażkę, rozprowadza ją rosołem, zaprawia solą, cukrem i sokiem cytrynowym. Do sosu tego wkłada się osączoną z wody fasolkę, zagotowuje i podaje do pieczeni lub jako danie jarskie, do kotletów z włoskiej kapusty. W miejsce zasmażki podprawić też można fasolkę kwaśną śmietaną, rozbitą z łyżeczką mąki i szczyptą białego pieprzu.

SAŁATKA SURÓWKA (na życzenie Czytelniczki). Wszystkie jarzyny, które jeść można na surowo, a więc: marchewkę, kalarepkę, rzodkiewkę, ogórek, sałatę głowiastą, kraje się drobno, miesza z łyżką siekanego koperku i troszką siekanej, zielonej pietruszki, posypuje odrobiną soli (ostrożnie, łatwo się przesala) i zostawia na salaterce przyciśnięte talerzykiem przez godzinę. Dwa jaja gotuje się na twardo, posiekane białka dodaje się do jarzyn, zaś żółtka rozciera się z ósemką śmietany, szczyptą cukru, troszką francuskiej musztardy i łyżeczką soku cytrynowego. Z sosem tym miesza się odleżałe, dobrze zwilgotniałe jarzyny i podaje w miejsce zupy lub jako przystawkę.

KURCZĘTA A LA WILSON. Kurczęta pokrajane na części dusi się na maśle z dodatkiem pęczka zielonej pietruszki. Uduszone układa się na ogniotwarłym półmisku i posypuje tartym parmezanem. Osobno rozkłóca się szklankę słodkiej śmietanki z łyżeczką mąki i zagotowuje, mieszając. Do przestudzonego kremu wbija się 2 całe jaja i jedno żółtko, ubija dokładnie i sosem tym polewa ułożone na półmisku kurczaki, posypuje tartą bułeczką, zmieszaną z parmezanem i wstawia do gorącego piecyka na 20—25 minut, tj. na taki czas, aby potrawa nabrała koloru. Do potrawy tej podaje się ryż lub makaron, krokietki z bułki lub kluseczki francuskie.

POTRAWA Z RYBY A L'ARCHIDUC. 25 dkg ryby (najlepiej do tej potrawy nadaje się łosoś, szczupak lub sandacz), ugotowanej w wodzie z solą i łyżką octu, obiera się z ości i kruszy na drobne kawałki. Filiżankę ryżu gotuje się z filiżanką wody i tyleż mleka na sypko. Dwa żółtka uciera się z łyżką masła, dodaje soli i pieprzu szczyptę, łyżeczkę soku cytrynowego, miesza z ryżem i pokruszoną rybą oraz z pianą z pozostałych 2 białek. Masę nakłada się do rondelka, natartego masłem i wysypanego bułeczką i piecze w gorącym piecyku przez 30 minut. Po upieczeniu wykłada się potrawę na większy, okrągły półmisek i garniruje dookoła łyżkami zielonego groszku i marchewki naprzemian. Osobno w sosjerce sos rakowy.

SUFLET OWOCOWY. 10 dkg masła, tyleż mąki i cukru z otartą skórką cytrynową zagniata się razem w rondelku i zalewa wśród ciągłego rozcierania pół litrem gorącego mleka, poczem ubija się masę na ogniu tak długo, aż od ścian naczynia odstaje. Wtedy wykłada się ciasto na miskę i po ostudzeniu wbija się, mieszając, po jednemu 6 żółtek, a gdy ciasto jest już zupełnie gładkie i jednolite, dodaje się pianę z 6 białek i miesza ostrożnie, aby się piana zbytnio nie rozcierała. Miskę ogniotrwałą smaruje się masłem i wlewa w nią ciasto. Małe jabłka winno wydrąża się, nakłada w wydrążenia słodką marmoladę, lub konfiturę, ustawia je w cieście w pewnych odstępach, zamyka każde jabłko troszką ciasta i wstawia do gorącego piecyka na godzinę. Ciasto powinno się silnie podnieść tak, że tylko wierzchołki jabłek ponad powierzchnie wystają. Suflet suto cukrem z wanilją posypany podaje się w tem samem naczyniu na ciepło.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Przecierane przez sito poziomki, pomieszane z śmietaną, — stanowią świetny deser. Również inne owoce można podawać ze śmietaną, a deser taki posiada również walory... optyczne, jak to widzimy na naszem zdjęciu, gdyż samym wyglądem już budzi apetyt, nawet u smakoszów.

Fot. J. O. Schneider.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 33	Sierpień — 31 dni
NIEDZIELA **8** Cyrjaka wyzn.	Zupa rakowa. Pasztet z wątróbki z zielonym groszkiem. Pularda albo kurczęta à la Wilson z krokietkami z bułki. Suflet owocowy. Kolacja: Rozbef na zimno z tatarskim sosem.
PONIEDZ. **9** Romana	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa zapiekana z ogórkiem. Stek cielęcy z sałatą. Kompot mieszany. Kolacja: Rizotto na podróbkach.
WTOREK **10** Wawrzyńca m.	Zupa jarzynowa purée z grzankami. Omlet z pieczarkami. Polędwica wieprzowa z kapustą kiszoną na prędce. Placek kruchy z jabłkami. Kolacja: Jaja w sosie pomidorowym.
ŚRODA **11** Zuzanny, Prota	Chłodnik ogórkowy. Płatki z kapustą. Zraziki cielęce naturalne z sałatką mieszaną. Budyń morelowy. Kolacja: Kalafior w beszamelu zapiekany.
CZWARTEK **12** Klary p.	Zupa z bułek /panade/. Zielona fasolka w śmietanowym sosie. Pieczeń cielęca duszona z jarzynami. Strudel z serem. Kolacja: Jajecznica z szynką.
PIĄTEK **13** Hipolita	Zupa à la crème. Kotlety z mieszanych jarzyn. Potrawa z ryby a l Archiduc. Knedelki bułczane z śliwkami. Kolacja: Śledziki z puszek, chleb, ser.
SOBOTA **14** Euzebjusza Wig.	Węgierska zupa pomidorowa z kluseczkami. Włoska kapusta z rumianem masłem. Prędkie rozbratle z sałatą. Kompot mieszany. Kolacja: Naleśniki z mięsem.

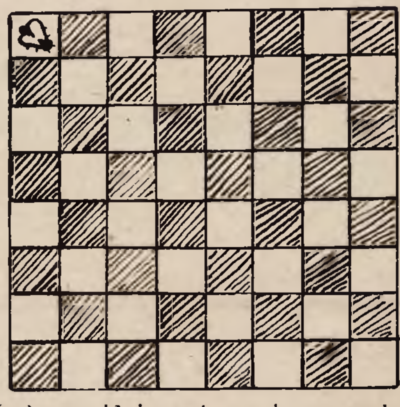
HOCKI-KLOCKI

WAKACJE.



— Państwo wprawdzie wyjechali, ale bardzo prosimy; potrzeba nam właśnie jednego pana...
Rys. Charlie.

MUCHA I SZACHOWNICA



Mucha znajdująca się na jasnem polu lewego rogu szachownicy, może poruszać się tylko po białych kwadratach — nie wolno jej stanąć na czarnem polu, ani też dwa razy przejść przez ten sam róg szachownicy. — Drogę muchy można wyznaczyć 17 ciągłemi prostemi linjami.

UŁOMNOŚCI.

W przytułku dla inwalidów 90 proc. pensjonarjuszów kuleje, 85 proc. jest głuchych, 80 proc. ślepych i 75 niemych. Należy obliczyć, jaki najmniejszy procent muszą w przytułku stanowić inwalidzi kulejący, głusi, ślepi i niemi zarazem?

USPRAWIEDLIWIENIE.



— Zapłaci pan złotego za niewłaściwe przechodzenie ulicy!
— Proszę pana, ja byłem chory, gdy się tego uczono! *Rys. Charlie.*

Rozwiązanie z N-ru 31-go.

KWADRAT MAGICZNY

0	14	13	3
11	5	6	8
7	9	10	4
12	2	1	15

Rozwiązanie zagadnienia wskazuje rysunek, na którym sumy liczb we wszystkich kierunkach dają 30. Trick leży w tem, że sześć pionków (3 5 6 9 10 i 15) tylko wtedy może pozostać na swych miejscach, jeżeli się całą figurę przesunie o jeden rząd w lewo.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ZEGAR.

Pan Wróbel ma zgarek, którego wskazówka godzinowa i minutowa są tej samej długości, tak że nie można odróżnić jednej od drugiej. Jeśli zaczynamy od godziny 12, to kiedy wskazówki będą pierwszy raz w takiej pozycji, że dzięki ich identyczności niemożliwością będzie zdać sobie sprawę z dokładnego czasu? W zadaniu tym bierzemy pod uwagę również i ułamki sekund.

BLOK CZEKOLADOWY.

Blok czekolady ma 16 cm długości, 8 cm szerokości i 7 i pół grubości. Jaką największą ilość kostek o wymiarach 5 cm 3 cm i 2 i pół można wykroić z tego bloku czekolady?

Dokończenie ze str. 28.

barwa harmonizuje z każdym kolorem. Na wyścigach w Auteuil jedna ze znanych paryskich „wyroczni mody" nosiła taki płaszczyk do sukni z crêpe romain w kolorze fiołków parmeńskich, których pęki zdobiły również kapelusz i klapę okrycia.

Bardzo modne są na popołudniu dwuczęściowe komplety z jedwabiu imprimé na ciemnem tle, złożone z sukni i bolerka, wykończonego plisami z tiulu (czarnego lub granatowego, zależnie od tła sukni).

Grube matowe gazy i żorżety powróciły w tym roku do łask, po dłuższem wygnaniu. Tworzą one na lato, prócz okryć, bardzo wytworne komplety, które mogą być noszone również i na wieczór, do teatru, kina, kawiarni itp. Specjalnie modne są suknie z tych materjałów, uszyte zupełnie skromnie i prosto, jak przedpołudniowe sportowe sukienki. Kontrast między prostotą kroju a strojnością materjału niepozbawiony jest rafinowanej elegancji.

Dużem powodzeniem cieszą się w tym sezonie wszelkie materjału jersey'owe, tkane ażurowo i przypominające koronkę. Są ładne i niezwykle praktyczne, gdyż zupełnie się nie mną. Robi się z nich dwuczęściowe kompleciki, lub też suknie z trzyćwierciowemi okryciami, obszytemi stębnowaną plisą z żorżety w tym samym kolorze.

Ku końcowi letniego sezonu, gdy dnie robią się krótsze, a wieczory chłodniejsze, coraz większe zastosowanie będzie miała wełna. Lekkie wełniane tkaniny stosowane są zarówno na skromne przedpołudniowe kostjumy, jak i na strojniejsze komplety, przeznaczone na popołudnie i wieczór. Zapowiedź zbliżającej się jesieni odnajdujemy w przybraniach z futer, w postaci szerokich klap, lub obszyć dolnego brzegu trzyćwierciowego żakietu.

Wytworne Paryżanki, zamiłowane w czarnym kolorze, noszą go w mieście nawet w pełni lata. Cóż można sobie wyobrazić elegantszego na ulicy od kostjumu z czarnej alpaki lub popołudniowego kompletu z czarnego crêpe romain, rozjaśnionego jedynie dyskretną kolorową plamą kwiatu, klamry u paska lub barwnego haftu na kieszeniach, czy kamizelce kostjumu!

Podobnie i kapelusze z pięknej czarnej słomki są w mieście najelegantszem nakryciem głowy i posiadają na popołudnie piętno prawdziwej elegancji. Ostatnim krzykiem mody jest czarny kapelusz z dużem rondem, kokieteryjnie ocieniającym oczy, z główką drapowaną z kolorowego jedwabiu lub lepiej aksamitu w kolorze sukni. Na wieczór odpowiedniejsze są małe toczki z cieniutkiego filcu, słomki, antylopowej skórki lub aksamitu, ozdobione pękiem wstążek lub kwiatami i — koniecznie wualeczką.

Lady Like.

To warto poznać..

NA SCENIE.

Na zakończenie świetnego kasowo sezonu (3 premjery w ciągu roku!) Malicka wznowiła w swym tearze **„Świt, dzień i noc"** Nicodemiego. Partnerem jej jest tym razem młody aktor p. Wojtecki.

W teatrze Letnim wystawiono komedję znanego aktora i autora, Romana Niewiarowicza, p. t. **„Gdzie djabeł nie może..."** Główne role przypadły pp. Janinie Martini, Orwidowi i Daczyńskiemu.

Warszawski teatr Kameralny wprowadzi na scenę w ciągu sierpnia komedję wiedeńskiego autora Adlera p. t. **„Skandal w rodzinie Ginga"**. W rolach głównych: pp. H. Różańska, Bieńkoczy, Orlański, Rzecki, Kwiatkowski. Reżyseruje: Chaberski.

Do poprzedniego przeglądu widowisk teatralnych zakradła się omyłka druku: w komedji Birabeau „Woźny i minister", granej w teatrze im. Słowackiego w Krakowie wystąpił w roli reżysera filmowego nie p. Łuniewski, lecz Juljusz Łuszczewski...

J. J.

NOWE KSIĄŻKI.

Z procesem rewindykacyjnym prawa kobiet w rządzeniu światem wystąpił debiutujący autor Kaganowicz z powieścią p. t.: **„Kobiety rządzą"**. Autor usiłuje wykazać zalety i zdolności organizacyjne kobiet. ,

Bohaterką utworu jest przedsiębiorcza Glorja, która nietylko zdobywa posadę rządową, ale niebawem, przeniesiona do prezydjum rady ministrów, staje się nieodzowną współpracowniczką samego premjera. Trzeba dodać, że premjer poznaje w niej swoją dawną miłość młodzieńczą. To wiele wyjaśnia, jeśli idzie o sukcesy Glorji!

Utwór ten zyskałby znaczenie, gdyby autor nie wplatał w akcję „referatów" na temat sytuacji kobiet, gdyby umiał swoje tezy ujmować plastycznie i treściwie. Liczne dialogi nie przyczyniają się do ożywienia opowieści, ponieważ brak im werwy i polotu; są zanadto gadulskie. Autor musi w przyszłości zdobyć się na sztukę wyłączania balastu, nadmiaru nieistotnych szczegółów.,

Dużo światła na psychikę kobiecą rzucają **Pamiętniki** Izadory Duncan, fenomenalnej tancerki, która zrewolucjonizowała taniec „klasyczny", zrywając ze szkołą baletową, jako nienaturalną i sztuczną. Taniec Izadory Duncan, to była natchniona improwizacja, wymagająca jednak starannego przygotowania, przemyślenia koncepcji tanecznej. Autorka opowiada koleje swej wspaniałej karjery artystycznej żywo i bez ogródek, nie ukrywając swych osobistych przeżyć pod korcem, ani nie zbywając ich niedomówieniami. Nie brak w tej postawie pewnego eksibicjonizmu, zresztą Duncan wyraźnie powiada, że nie uznaje hamulców innej natury, jak estetycznej. Unika wszystkiego, co brzydkie i przeciętne. Rozmiłowana w sztuce klasycznej, z religijnem skupieniem zwiedzała ruiny twórczości Greków. Wogóle dla wszystkiego, co związane jest ze sztuką, miała ogromne zrozumienie i wyczucie. Żyła, pochłonięta tańcem, jako posłannictwem artystycznem, dla którego warto się poświęcić. Chociaż Izadora Duncan nie wyrzekała się miłości, nie potrafiłaby żyć bez tańca. Jak dalece taniec był jej sposobem wyżywania się — świadczy fakt, że niejednokrotnie tańczyła w bardzo szczupłem gronie, a więc nie koniecznie dla poklasku, choć dla każdego artysty sukces ważnym jest bodźcem i zachętą.



Ostatnia książka Bohdana Pawłowicza p. t. „W słońcu dalekiego południa" wzbudziła wielkie zaciekawienie wśród czytelników. — Doskonały znawca Ameryki Południowej i spraw morskich, autor „Pionierów", „Załogi", „Chłopca i Piniowych lasów" i t. d. i tym razem nie zawiódł oczekiwania. — Na zdjęciu widzimy B. Pawłowicza na pokładzie angielskiego statku „Almanzor" u brzegów Brazylji.

Wydarzeniem dnia stała się w Paryżu nowa książka Rolanda Dorgelisa p. t. **„Vive la liberté!"** (Niech żyje wolność!). Jest to relacja z podróży do krajów o ustroju „totalnym": Włoch, Niemiec i Rosji. Wnioski, jakie nasuwają się po tem doświadczeniu można streścić w trzech zdaniach: We Włoszech | źle jest oddychać; w Niemczech wogóle nie oddycha się swobodnie; w Rosji — człowiek dusi się poprostu. — Najwięcej miejsca poświęca autor Rosji Sowieckiej, ponieważ kraj ten uważało wielu za najciekawszy eksperyment teraźniejszości. I Dorgelis spodziewał się odnaleźć tam jakieś słupy orjentacyjne, któreby pozwoliły wyprowadzić ludzkość z zamętu... Dorgelis wrócił pod przygnębiającem wrażeniem, zupełnie rozczarowany: „Nigdzie indziej nie natrafiłem na tak okropną nędzę... Nie widać tam ludzi roześmianych, którzy działają, pracują i odpoczywają, widać natomiast — stado ujarzmione, poskromione i milczące..." Ludność Sowietów utrzymywana jest w zupełnej ignorancji co do stosunków w reszcie świata. — „Nienawidzę wszelkiej dyktatury, — oświadcza Dorgelis — ale dyktatura Sowietów wydaje mi się najstraszniejszą".

W chwili obecnej, „kiedy walka klas rzuca bezmyślnie jednych przeciw drugim, choć wszyscy mają jeden wspólny, rzeczywisty cel: wielkość swego kraju i wolność jego mieszkańców" — to zamieszanie prowadzi nieuchronnie do dyktatury: „albo dyktatury masy albo pieniądza. Otóż jeśli mam wybierać między masą bez głowy a pieniędzmi, które nie wiedzą co to serce — wolę wybrać — wolność!"

J. J.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 8 sierpnia.

9.00 Transmisja nabożeństwa z Kościoła Św. Krzyża w Warszawie.
10.30 Koncert zespołu Light Opera Company (płyty).
11.05 Koncert symfoniczny, transmisja z Salzburga.
13.10 Koncert Polskiej Kapeli Ludowej F. Dzierżanowskiego, transmisja z Nałęczowa.
14.10 Audycja dla dzieci.
16.00 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry.
16.20 Teatr Wyobraźni — „Dwóch nieśmiałych".
18.00 „Pół czarnej przy mikrofonie" — transm. z kaw. George'a ze Lwowa.
20.00 Utwory Wieniawskiego w wykonaniu znanych skrzypków (płyty).
21.00 „Wiolazija — czyli piąta pora roku" — Kukułka Wileńska.
21.40 Reportaż tel. red. J. Piotrowskiego z trasy marszu Szl. Kadr. etap Jędrzejów—Kielce.
22.00 Recital fortepjanowy Leopolda Muenzera (ze Lwowa).

Poniedziałek, 9 sierpnia.

12.25 Edward Grieg (płyty).
12.10 Od warsztatu do warsztatu — w wytwórni konserw owocowych. Audycja z Wilna.
16.00 „Ktoby pomyślał?" — pogadanka dla dzieci starszych.
16.15 Arje i pieśni wykona Iza Rola.
16.45 „W 90 rocznicę zgonu Samuela Linde" — odczyt z Poznania.
17.00 Zespół Salonowy Leopolda Striksa.
17.50 Ananas berżenicki — pogadanka.
18.15 Kobiece zespoły wokalne i orkiestra Edith Lorand (płyty).
18.50 Ogólne wrażenia z marszu „Szlakiem Kadrówki".
20.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Małej Orkiestry.
22.00 Koncert symfoniczny orkiestry wileńskiej.

Wtorek, 10 sierpnia.

12.25 Koncert muzyki lekkiej orkiestry Rozgłośni Poznańskiej .
16.00 „Podwieczorek pod lipą" — audycja dla dzieci.
16.45 Od Weiherowa do Pucka — feljeton z Torunia.
17.00 Koncert Orkiestry Filharmonji Warszawskiej.
18.15 Słynni dyrygenci w repertuarze walców Jana Straussa.
19.00 „Idee fixe" — skecz.
19.15 Obrazki z Finlandji — muzyczny reportaż z płyt.
20.00 Koncert rozrywkowy Małej Orkiestry.
22.00 Koncert niewidomych artystów, zorganizowany z okazji Międzynarodowego Kongresu Ociemniałych.

Środa, 11 sierpnia.

12.25 Koncert orkiestry wojskowej.
16.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki Tad. Łopalewskiego.
16.15 Trio Polskiego Radja.
16.45 „Bitwa warszawska w 1920 r." — odczyt.
17.00 Koncert solistów.
17.50 Rower i motocykl — pogadanka.
18.15 Orkiestra Pawla Godwina i Gitta Alpar (płyty).
18.50 Pogadanka aktualna.
19.00 Słynni dyrygenci — XVII audycja (płyty).
20.00 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry P. R. W przerwie ok. godz. 20.20 „Pan Achilles Bożydar i jego dzieło" — skecz, z Krakowa.
21.00 Koncert chopinowski.
22.00 Koncert rozrywkowy w wyk. ork. Tadeusza Seredyńskiego.

Czwartek, 12 sierpnia.

12.25 Koncert w wykonaniu Łódzkiej Orkiestry Salonowej.
16.00 „Przygody pana od przyrody" — pogadanka.
16.15 Symfonje Beethovena — V audycja (płyty).
16.50 Jak gospodarują Angielki — gawęda.
17.05 Koncert Orkiestry Filharmonji Warszawskiej.
19.00 Teatr Wyobraźni — „Dramat w naturze" — słuchowisko.
20.00 Koncert rozrywkowy z Wilna.
22.00 Recital śpiewaczy Anieli Szlemińskiej.
22.30 Muzyka włoska (płyty).

piątek, 13 sierpnia.

12.25 Muzyka popularna w wyk. Ork. dętej Kol. Przysp. Wojsk.
16.15 Koncert Polskiej Kapeli Ludowej, transm z parku w Nałęczowie.
16.45 Marmurowe miasto wśród jodłowych wiosek — reportaż ze Lwowa.
16.45 Marmurowe miasto wśród jodłowych wiosek — reportaż ze Lwowa.
17.00 Koncert solistów.
17.50 W jaki sposób odkryto baterje — pogadanka.
18.15 Pogadanka konkursowa.
18.20 Imperio Argentina i orkiestry argentyńskie (płyty).
19.00 Muzyka angielska.
20.00 „Jedziemy do wód" — audycja muzyczno-literacka.
21.00 Muzyka taneczna.
22.00 Koncert solistów.

Sobota, 14 sierpnia.

12.25 Koncert Orkiestry Wileńskiej.
16.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci: słuchowisko p. t. „Lato leśnych ludzi".
16.30 „Sklep z zabawkami" — koncert z Krakowa.
17.50 „Na Podolu biały kamień" — pogadanka.
18.15 Georges Boulanger (płyty).
19.00 Arje i pieśni w wyk. Lucyny Szczepańskiej i J. Czaplickiego.
21.05 „Dożynki" — suita pieśni i tańców ludowych M. Rudnickiego.
21.40 Bawarskie pieśni ludowe.
22.05 Regjonalna transmisja z Trok (przez Wilno).

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.